ŚWIATOWID

Nr. 7/549 ROK X
16 LUTEGO 1935 R
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2·20.

Z TEATRU NOWEGO W WARSZAWIE.

Teatr Nowy w Warszawie, wystawił efektowną sztukę pisarza angielskiego Rudolfa Bessiera p.t. „Miss Ba". Główną rolę kobiecą w tej sztuce, poetki Elżbiety Barret (na zdjęciu) kreuje znakomita artystka Marja Malicka.



LITTORJA — GDYNI.



Z okazji 15-letniej rocznicy odzyskania morza polskiego odbyła się w Gdyni akademja w sali kina „Morskie Oko", w czasie której przedstawicielom Gdyni została wręczona waza, zaofiarowana przez miasto włoskie Littoria, powstałe na bagnach Pontyńskich z inicjatywy Mussoliniego. Na zdjęciu moment przemówienia sekretarza Ambasady włoskiej hr. Cittadini. Obok niego stoi komisarz p. Sokół.

Fot. W. Piktel — Warszawa.

UZNANIE BELGIJSKIE DLA POLSKIEGO UCZONEGO.



Prof. Dr. Rudolf Weigl ze Lwowa.

Król belgijski Leopold III. nadał naszemu znakomitemu uczonemu drowi Rudolfowi Weiglowi, prof. Uniw. Jana Kazimierza we Lwowie, komandorję orderu Leopolda, w uznaniu zasług, położonych przez tego wielkiego badacza nad leczeniem tyfusu plamistego. Prof. Weiglowi udało się przed laty wynaleźć szczepionkę przeciwko tej strasznej chorobie, na którą dotąd nie było ratunku. Szczepionka ta działa nietylko leczniczo, ale także zabezpiecza personel lekarski i sanitarny przed zarażeniem. Przekonali się o tem misjonarze belgijscy, którzy pracując w Afryce na terenach, nawiedzanych silnie przez tyfus plamisty, dzięki szczepionce prof. Weigla uniknęli śmierci.



Na prawo: Komandorja belgijskiego orderu Leopolda.

OFICEROWIE NIEMIECCY W GRUDZIĄDZU.



Oficerowie niemieccy gen. Dalwigk, gen. Schindler, płk. Krüger i mjr. Voigt zwiedzili Centrum Wyszkolenia Kawalerji w Grudziądzu, w towarzystwie szefa departamentu kawalerji płk. Karcza i komendanta szkoły płk. Podhorskiego. Na zdjęciu niemieccy goście i oficerowie polscy na terenie C. W. Kaw. w Grudziądzu.

Z WARSZAWSKIEGO KARNAWAŁU



W salach Kasyna Sztabu Głównego w Warszawie, odbył się bal Towarzystwa Rozwoju Kresów Wschodnich, który zgromadził liczne grono wytwornej publiczności. Bawiono się ochoczo do rana. Na zdjęciu grupa uczestników tego balu.

„Ag. Fot. Światowida".

BAL MORZA W POZNANIU



Przy bufecie na balu Państwowej Szkoły Sztuki Zdobniczej w Poznaniu. Wśród obecnych widoczni: dyr. Maszkowski, prof. Roguski, prezes Michałowicz, państwo Latanowiczowie, adwokat Kwiczala i wielu innych.

Z tańczącą Sztuką Terpsychora nie ma napewno nic wspólnego. Bogini tańca zarumieniłaby się ze wstydu, gdyby oglądała poznańską brać artystyczną w ich łamańcach na posadzce auli Państwowej Szkoły Sztuki Zdobniczej na balu, jaki odbył się ostatnio w gmachu tej szkoły przy ul. Jezuickiej.

Oczywiście były tam pary, które tańczyły cudnie i było tych par nawet bardzo dużo, ale te napewno do artystów się nie zaliczały, ale do przedstawicieli sfer ziemiańskich, bardzo licznie reprezentowanych na balu. Kiedyś byli to mecenasi artystów — dzisiaj są im równi.

Goli, jak oni...

Ale to nie psuło nikomu zabawy, która z godziny na godzinę przybierała na intesywności.

Sala taneczna była pełna, sale bufetowe też. A było ich aż pięć. Obok sali tańca i nad salą. Osobno bufet t. zw. słodki, umieszczony w pokoju przerobionym na grotę koralową. Ten miał najmniej powodzenia. Ze zrozumiałych względów!

Za bufetami królowały żony profesorów szkoły i artystki. Za najbardziej oblężonym gospodarowała p. Hahnowa, zimą artystka tworząca przecudnej kolorystyki kilimy, latem znana na wszystkich kortach polskich tennisistka.

Już dobrze po północy na salę taneczną wjechała poprzedzona orszakiem marynarzy (jaka jest żeńska forma tego słowa — marynarek?) królowa morza na olbrzymim wielorybie. Marynarzami były uczenice i uczniowie szkoły, którzy nadspodziewanie dobrze czuli się w rolach tancerzy.

Nad ranem około godziny... ale poco to zdradzać, opuścili ostatni goście ów przybytek muz, który na tę jedną noc zamienił się w pałac beztroskiej zabawy.

Pozostała opróżniona sala, a syreny, trytony i ryby, któremi udekorowano aulę na ten bal, szeptały sobie o tych, którzy na dnie morza wyprawiali dziwne harce, zwane przez ludzi tańcem. H. S.



Królowa morza na wielorybie na tle efektownych dekoracyj, które zdobiły ściany sali balowej.

ZDJĘCIA AGENCJI FOT. „ŚWIATOWID"

UROCZYSTOŚCI ŻAŁOBNE W WILNIE.



W ub. piątek odbył się w Wilnie pogrzeb ś. p. Zofji z Piłsudskich Kadenacowej. Na zdjęciu Marszałek Piłsudski, postępujący za trumną swej zmarłej siostry.

Dnia 8 b. m. odbył się w Wilnie na cmentarzu Bernardyńskim pogrzeb ś. p. Zofji z Piłsudskich Kadenacowej.

Nabożeństwo w kościele pobernardyńskim odprawił biskup polowy ks. Gawlina w obecności księdza metropolity Jabłrzykowskiego i księdza biskupa Michałkiewicza, poczem przy dźwiękach marsza żałobnego wyniesiono trumnę z kościoła i pochód żałobny ruszył na Zarzecze.

Za trumną postępował Marszałek Józef Piłsudski, w otoczeniu swej najbliższej rodziny, oraz przedstawicieli rządu z premjerem Kozłowskim na czele.

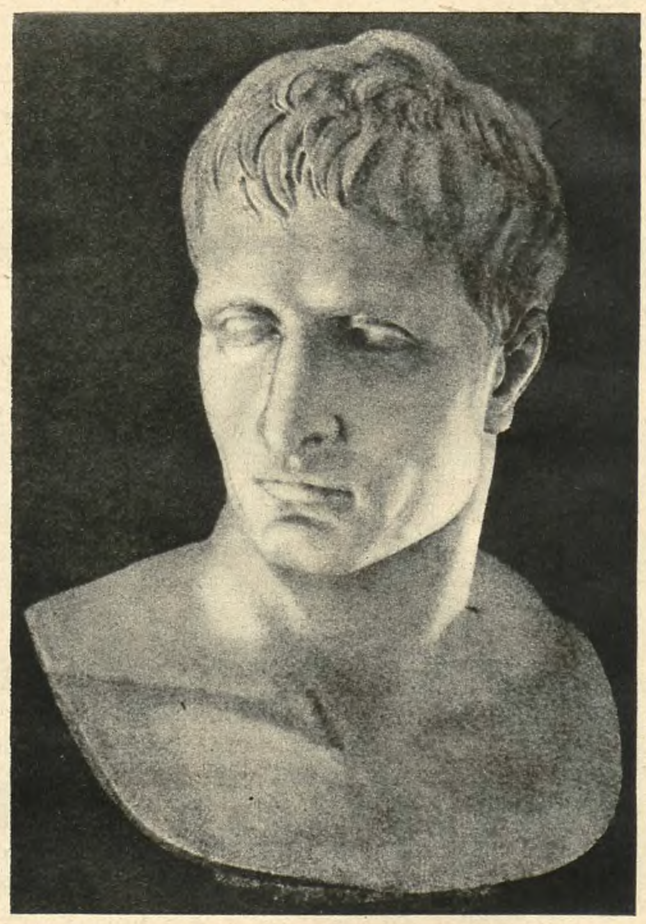
Począwszy od bramy cmentarnej trumna była niesiona przez synów ś. p. Zmarłej.



Trumna ze zwłokami ś. p. Zofji Kadenacowej na katafalku w kościele pobernardyńskim w Wilnie.

ZDJĘCIA FOT. W. PIKIEL — WARSZAWA.

JAK SPAŁ I JADAŁ NAPOLEON?



W życiu codziennem, poobozowem Napoleon kładł się spać przeważnie o 10-tej wieczór. Snu potrzebował naogół mało. Już o godzinie w pół do siódmej budził go lokaj, poczem cesarz natychmiast wyskakiwał z łóżka, nie tracąc ani chwili na przeciąganie się. Za kilkanaście minut był już ubrany i gotów do pracy.

Cesarz zasypiał i budził się kiedy chciał, nawet i w tym wypadku żelazna jego wola pokonywała organizm.

W czasie kampanji, w polu Napoleon był bardzo niewymagający i spał, gdzie popadło. Pewnego razu gen. Segur znalazł go po bitwie w jakiejś małej izdebce, drzemiącego przy piecu, obok którego z drugiej strony spał rozciągnięty wygodnie na stołku młody dobosz.

Zdziwiony Segur dowiedział się, że żołnierz znajdował się w izbie przed przybyciem Napoleona i że na propozycję csarza usunięcia się od pieca, odpowiedział odmownie, nie domyślając się w ciemnościach, z kim rozmawia.

— Miejsca jest tu dosyć dla wszystkich, burknął, ja zresztą jestem raniony i nie ruszę się stąd, ani krokiem.

Napoleon roześmiał się i kazał pozostawić zucha w spokoju. I tak drzemali obaj, dobosz i cesarz pośród świty, czekającej na rozkazy.

Przy stole cesarz najwidoczniej lekceważył przepisy higjeny. Potrawy łykał, jakby był wygłodniały, nie gryząc dobrze jedzenia i spiesząc się ustawicznie. Zrzadka tylko miewał swoje fantazje gastronomiczne a gdy ich nie można było zaspokoić, albo gdy mu potrawy nie smakowały, wpadał w furję, zrzucał wszystko ze stołu i blady ze złości zamykał się w swym gabinecie. Gniew jego jednak mijał prędko i dlatego rzadko przychodziło do przesilenia na stanowisku cesarskiego kucharza.

Silniejszych trunków Napoleon prawie, że nie pijał, wystarczyło mu pół butelki wina z wodą.

Przeciętny Francuz jest smakoszem, a chwile spędzone przy stole uważa za nagrodę za trudy dnia. Napoleon wprost przeciwnie, był zdania, że nie należy tracić czasu na jedzenie i jak mógł najszybciej znikał zawsze z jadalni, ku rozpaczy zaproszonych osób, które w myśl ceremonjału musiały także podnosić się z miejsc... głodne.

I tak pewnego razu w 1805 r. z okazji małżeństwa księcia Eugenjusza, cesarz wydał w Monachjum wspaniałą ucztę, na które zaproszone było najwyższe towarzystwo stolicy bawarskiej. Menu zapowiadało się wspaniale. Ale cóż z tego! Zanim goście zdążyli rozwinąć serwetki, Napoleon już był po obiedzie i przeszedł do innej sali. Biesiadnicy oczywiście za nim, przysięgając sobie jednak w duszy, że na przyszły raz przyjdą na proszony obiad cesarski tylko po dobrym i sutym obiedzie, zjedzonym w domu.

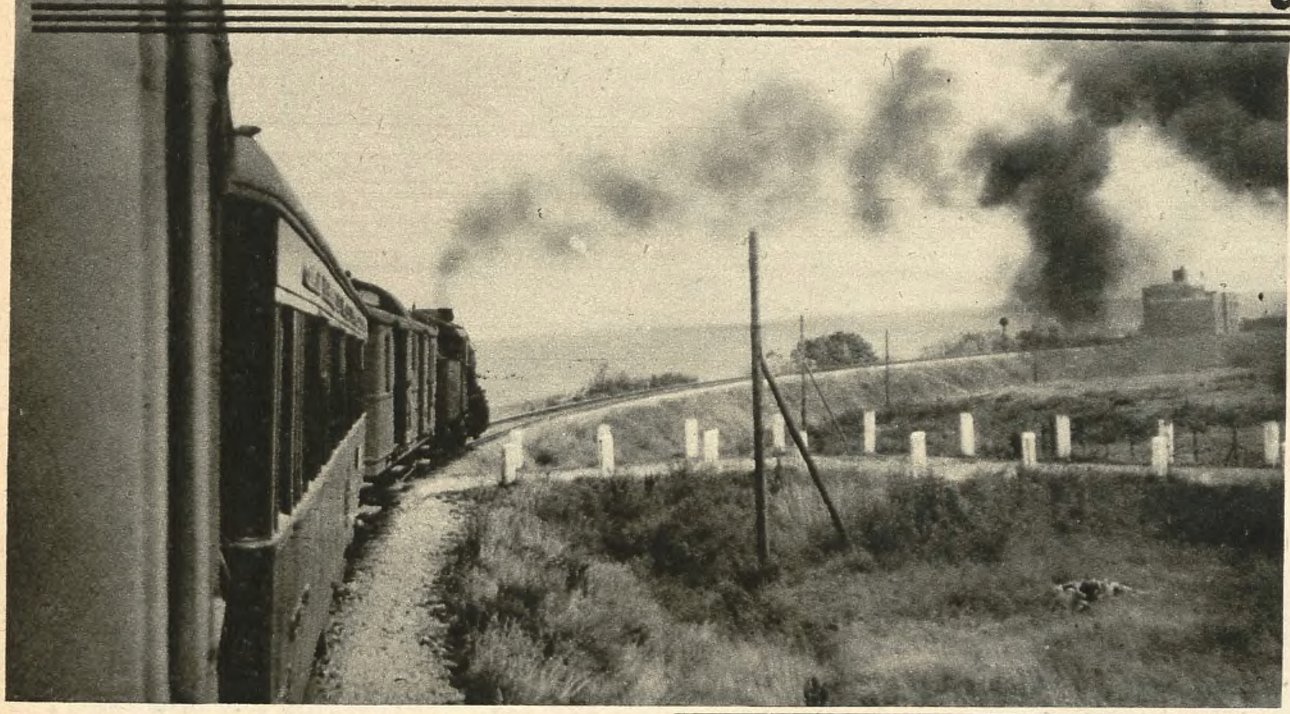
ZŁOTO, KTÓRE SPADŁO Z NIEBA.



Pewna biedna wieśniaczka z okolic Oisemont w departamencie Sommy we Francji znalazła na swojem polu rozbitą skrzynkę drewnianą a w głębi ziemi sztaby złota wartości 6.000 funtów szterlingów. Jak wykazało śledztwo skrzynka ta wypadła z aeroplanu w czasie przelotu aparatu z Paryża do Londynu. Tytułem znaleźnego uczciwa wieśniaczka otrzymała 110.000 franków (na zdjęciu) czyli sumę, która pozwoli jej żyć odtąd w dobrobycie.

Scherl — Berlin.

MASZYNISTA CESARSKIEGO POCIĄGU.





Jakób Haas, długoletni maszynista pociągu cesarza Franciszka Józefa I. zmarł przed dwoma tygodniami w Przemyślu.

W Przemyślu zmarł przed tygodniem człowiek, który w historji dawnej monarchji austro-węgierskiej odegrał pewną rolę. Człowiek, w którego ręku spoczywał niejednokrotnie los starego cesarza Franciszka Józefa.

Dziwne i ciekawe są koleje życia tego człowieka. Urodził się na Morawach w małej zapadłej mieścinie Gibov w roku 1840 jako ósmy skolei syn swych rodziców. Kiedy liczył dwanaście lat, oddał go ojciec do terminu do ślusarza. Cztery lata pracował Jakób Haas u swego patrona. Kiedy się „wyzwolił", ojciec już nie żył. Bracia rozbiegli się po świecie za chlebem, matka umarła także i czeladnik ślusarski Jakób Haas wyruszył w świat jako t. zw. Wanderbursche szukać chleba. Przeszedł wówczas kawał świata. Poprzez Leoben, Judenburg, Graz i Porto Seco dotarł do stolicy Lombardji, ówczesnego królestwa wenecko-lombardzkiego, wchodzącego w skład monarchji austrjacko-węgierskiej. Po drodze zarabiał na chleb codzienny pracą. Był bardzo zdolny, to też wszędzie przyjmowano go chętnie. Z pod samego Medjolanu musiał jednak wówczas zawrócić, wobec wybuchu wojny austrjacko-włoskiej. Było to w roku 1859. Wkrótce potem, po powrocie do rodzinnego miasteczka, począł Jakób Haas czynić starania o przyjęcie go do kolei. Starania te uwieńczone zostały wynikiem pomyślnym. W roku 1866 mianuje go zarząd kolei maszynistą pociągów osobowych. Po raz pierwszy zwraca na siebie uwagę władz kolejowych maszynista pociągów osobowych Jakób Haas w tym samym roku, organizując samorzutnie pociąg, którym zwozi spod Koeniggrätzu przez Berno na Węgry pobitych Austrjaków. W nagrodę za to zostaje wówczas przeniesiony do K. K. Ferdinand Nordbahn. Skolei przechodzi do K. K. Priviligierte Lemberg — Czernowitz — Jassy Eisenbahn, której dyrektorem był osławiony baron Offenheim, aresztowany później za grube nadużycia na szkodę akcjonarjuszy.

W rok później władze kolejowe austrjackie mają sposobność po raz drugi zajmować się maszynistą pociągów osobowych Jakóbem Haasem.

Oto Haas prowadzi pociąg przez dolinę Prutu. Jest silna powódź, tory są podmyte. Pociąg osobowy mknie z przepisaną szybkością naprzód. W pewnym momencie dochodzi do uszu pasażerów jakiś niesamowity zgrzyt, cały pociąg ogarnia wstrząs, pakunki spadają pasażerom na głowy z półek. Z jękiem jakimś straszliwym cofają się wagony kolejowe, pociąg staje. Z trzaskiem otwierają się drzwi wagonów, wypada z nich służba kolejowa, a potem wylegają na nasyp podróżni. Robi się zamieszanie nie do opisania.

Obok maszyny stoi maszynista Haas. Pali z właściwym sobie spokojem fajkę.

Padają zdenerwowane pytania:

— Co się stało?

— Ano nic wielkiego — odpowiada Haas. — Tylki woda zerwała most na Prucie w ostatniej chwili i musiałem nieco cofnąć pociąg, bo przednie koła maszyny chciały już zawisnąć nad przepaścią.

Okazało się, że już po wyjeździe pociągu z ostatniej stacji niemal w ostatniej chwili przed wjazdem pociągu na most wezbrane fale Prutu zerwały kilka przęseł. W chwili, kiedy pociąg miał wjechać na most, zobaczył Haas płynące przęsła. Ostatnim wysiłkiem zatrzymał przeto pociąg. Kiedy pasażerowie pociągu otoczyli go kołem i poczęli dziękować za uratowanie im życia, był silnie zażenowany. Odpowiedział im tylko:

— Przecie nic nie zrobiłem, zatrzymałem tylko pociąg, bo tor się urwał i nie było mostu.

Powiadomione o tem cudownem ocaleniu austrjackie władze kolejowe nadały Haasowi order i tytuł stałego maszynisty pociągów pospiesznych. Kiedy opowiedziano Franciszkowi Józefowi o bohaterstwie maszynisty Haasa, polecił zamianować go maszynistą pociągu dworskiego. Jakoż po jakimś czasie jechał cesarz na manewry do Gródka. Była to pierwsza podróż cesarza pospiesznym pociągiem. Pociąg rozwijał jak na owe czasy szybkość niezwykłą. Cesarz był zachwycony podróżą i chwalił bardzo maszynistę. Na jednym z postojów kazał adjutantowi, jakiemuś napuszonemu baronowi zanieść maszyniście dwa prawdziwe cesarskie Virginia. Adjutant zbliżył się do maszyny, wspiął się ku górze i podając cygara końcami palców Haasowi, by się przypadkiem nie powalał, powiedział:



Cesarz Franciszek Józef I. naogół nie lubiał podróżować, ani koleją, ani autem. Wszystkiego odbył w życiu dwie, czy trzy podróże zagraniczne, a mianowicie do Petersburga i do Egiptu, na otwarcie kanału Sueskiego. Jeździł zato chętnie końmi, a powóz zaprzężony w piękne rumaki, był jego najulubieńszym środkiem lokomocji. Na zdjęciu Franciszek Józef I. w czasie pobytu swego w Ischlu w 1914 r tuż przed wybuchem wojny światowej.

— Macie tu dobry człowieku dwa cygara, sam Najjaśniejszy Pan je wam posyła za dobrą jazdę.

A na to Haas z wysokości swej maszyny:

— Panie baronie, proszę zameldować Najjaśniejszemu Panu, że za taką jazdę należy się cała skrzynka cygar i duża porcja wina do tego.

Obecni przy tej rozmowie struchleli. To zakrawało na obrazę majestatu. Adjutant bał się opowiedzieć o tem cesarzowi. Mogło mu to, Boże broń, zaszkodzić. Jednak cesarz zapytał po powrocie adjutanta, czy cygara smakowały maszyniście. Adjutant opowiedział, jaką mu Haas dał odpowiedź. I o dziwo. Cesarz nie obraził się wcale. Kazał natychmiast zanieść na maszynę skrzynkę najprzedniejszych cygar i duży kosz najstarszego wina. Powiedział nawet: — Ten człowiek ma zupełną rację. Za taką jazdę należy się więcej, niż dwa Virginia.

Po skończonej podróży wezwał cesarz przed swe oblicze zuchwałego maszynistę.

— Dobra była jazda — powiedział Franciszek Józef. — Odtąd będziecie zawsze ze mną jeździć, maszynisto Haas.

— Rozkaz, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Haas — jeśli tylko wino będzie takie dobre, jak tym razem.

Franciszek Józef zaśmiał się:

— Postaramy się was zadowolić.

I odtąd tylko Haas jeździł z cesarzem. Woził go na wielkie manewry cesarskie do Gródka, do Skolego, do Stryja i na wystawę krajową do Lwowa. Jeździł z cesarzem, woził arcyksiążąt Eugenjusza i Albrechta, króla rumuńskiego i inne wysokie persony.

I znowu raz, a było to podczas podróży do Skolego, zetknął się maszynista Haas z swym najjaśniejszym panem. Na jakieś stacyjce przeszedłszy przed frontem kompanji honorowej, zbliżył się cesarz do maszyny. Ujrzawszy na niej Haasa, zawołał:

— Toż to mój stary znajomy. Jak wam wtedy smakowało moje wino? Dobre było, prawda? A na to Haas: Zdaje się, że dobre, Najjaśniejszy Panie. Zresztą już w tej chwili nie pomnę. Ale gdyby tak powtórzyć.

I znowu z salonki „najjaśniejszego pana" powędrował na maszynę kosz najprzedniejszego gatunku wina.

— — — — — — — — — — —

Cesarz podróżował jednak rzadko. Od jednej do drugiej podróży mijały czasem lata całe. Jakób Haas był maszynistsą pociągów pospiesznych. Był najlepszym maszynistą w całej monarchji austro-węgierskiej. Przytem miał dziwne szczęście. Dużo razy zaglądał śmiało śmierci w oczy. Zawsze jednak wychodził zwycięsko z opresji.

Wówczas jeszcze kolejnictwo nie było tak udoskonalone jak obecnie. To też katastrofy kolejowe były częste.

Maszynista pociągów pospiesznych Jakób Haas miał za sobą kilka takich wypadków, które jedynie dzięki jego niezwykłej wprost przytomności umysłu nie pociągnęły za sobą śmierci setek ludzi.

Pod Płuhowem koło Tarnopola udało mu się w ostatniej chwili zatrzymać pociąg, na skutek omyłki zwrotniczego skierowany na ślepy tor. Pod Komienobrodem, Rogóżnem i Bogdanówką cudem jedynie uszedł śmierci.

Najstraszniejszą jednak była historja, jaka wydarzyła mu się pod Pełkiniami, na linji Przemyśl—Jarosław. Oto w nocy prowadził pociąg do Krakowa. Noc była ciemna. Nad polami rozsnuła się mgła. Maszynista był w kiepskim humorze. Był zmęczony. Od kilku dni z rzędu bez przerwy prowadził pociągi. Nagle posłyszał huk zbliżającego się pociągu. Z mgły wyłoniły się straszne ślepia lokomotywy. Po tym samym torze pędził z przeciwnej strony pociąg towarowy. Zdawało się, że lada chwila obydwa pociągi wpadną na siebie, że zewrą się w morderczym uścisku maszyny i setki ludzi znajdą śmierć. Wówczas to jakimś nadludzkim wysiłkiem Haas zatrzymał swój pociąg i począł gwałtownie cofać się w tył. Tymczasem pociąg towarowy się zatrzymał. W ten sposób uniknięto katastrofy. Wrażenie było jednak zbyt silne, nawet dla człowieka o tak żelaznych nerwach, jak Jakób Haas. W ciągu tych kilku minut posiwiała mu zupełnie prawa strona głowy.

Ale były też w życiu maszynisty Haasa momenty wesołe. Z urzędnikami ruchu, kiedy go fałszywie wysyłali w drogę, obchodził się bezceremonjalnie. Urzędnika ruchu w Rogożnie, uniknąwszy szczęśliwie katastrofy, sprał miotłą. Innym razem znów w Bogdanówce, kiedy ówczesny urzędnik ruchu, potem dygnitarz kolejowy Willibald puścił go na fałszywy tor, wpadł, wróciwszy do Rogożna do biura ruchu i ściągnąwszy z kanapy śpiącego w najlepsze urzędnika, wyniósł na dziedziniec i rzucił na śnieg, chcąc go w ten sposób rozbudzić.

Wreszcie 26 lutego 1900 roku przeniesiony został cesarski maszynista Jakób Haas na emeryturę. Koledzy zgotowali mu wielkie pożegnanie, w którem wziął udział ówczesny prezes dyrekcji kolei, oraz wszyscy dygnitarze dyrekcyjni.

Ostatnie lata swego życia spędził w Przemyślu i tam umarł.

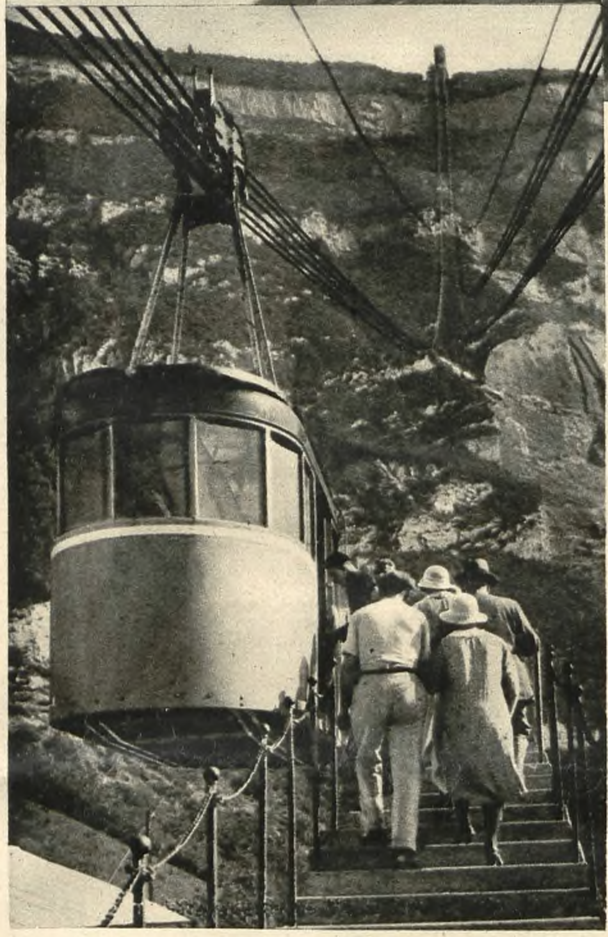
L. T.

Migawki ze Szwajcarji.

NA NAPOWIETRZNYCH LINACH.



Kolejka linowa na szczyt Mont Salève pod Genewą.



Dolna stacja kolejki na Mont Salève,

Tuż nad Genewą, już po stronie francuskiej wznosi się imponująco stromy szczyt Mont Salève. Zbudowano nań przed dwoma laty kolejkę linową, by udostępnić turystom fenomenalny widok, jaki się stamtąd rozciąga.

By dostać się do dolnej stacji kolejki, trzeba jechać trzy kwadranse za miasto dość rozklekotanym tramwajem aż do osady Veyrier. Jedzie się przez dzielnice willowe, pośród ogrodów i parków. Wysiadłszy z tramwaju, trzeba przekroczyć granicę szwajcarsko-francuską, na której wcale się nie pytają o paszporty, przyzwyczajeni są bowiem do obustronnego ruchu turystycznego.

Na Mont Salève można wydostać się piechotą, kolejką zębatą mijającą liczne tuneliki i nową kolejką linową, zwaną telèphèrique. Sześć grubych lin zwiesza się od szczytu stromo w dół, a błękitny wagonik kołysze się nieprzyjemnie na wietrze. W miarę wznoszenia się przepaść rośnie wraz z widokiem. Robi się dziwnie napowietrznie. Z początku wydaje się, że się jedzie elektrycznym pociągiem, lecz im wyżej, tem bardziej przypomina się aeroplan. W połowie drogi mijamy się z wagonikiem, zjeżdżającym z góry. a wkrótce nadjeżdżamy tak blisko na strome wapienne stoki Mont Saleve, że zdaje się, że zawadzimy o skały lada chwila. Kamieniołomy i ludzie pracujący przy nich i domki na dole — wyglądają jak zabaweczki. Z chaosu szeroko rozrzuconego miasta wyodrębnia się ciemny półksiężyc Genewskiego jeziora i biały pas Jury przywalony śniegami.

Docieramy do górnej stacji, przy której naturalnie urządzona jest restauracja i taras widokowy, skąd imponująco przedstawia się grupa króla Alp, Mont Blanc. Do szczytu jeszcze paręset metrów „na nogach“, widok ma być stamtąd jeszcze piękniejszy, ale góra siedzi w chmurze i nie warto ślizgać się darmo w śniegu. Idę kawałek na spacer i mijam liczne zaprzęgi psów-wilków i koni, dowożących prowiant do górnego hotelu „Aux treize arbres“. Doskonałe tu tereny narciarskie, na których zabawnie po słonecznej, suchej Genewie wyglądają narciarze. Podobno w lecie ciągną tu istne pielgrzymki turystów z pobliskiej Genewy dla nacieszenia się widokiem i słońcem.

Zimny wiatr spędza mnie dość szybko na stację. Wagonik właśnie odchodzi, toteż wsiadam odrazu. Zjeżdżamy ostrożnie, kołysząc się na silnym wietrze, który pędzi od wschodu kłęby lotnej mgły. Wkrótce po starcie telefon, za chwilę drugi. Konduktor oznajmia, że musimy się zatrzymać.

Jakoż po chwili zawisamy „w próżni“ z powodu defektu kabla i silnego wichru. Perspektywa wiszenia nad przepaścią nie jest zbyt miła. Od kołysania i wiatru kręci się w głowie. Na szczęście nie trwa to zbyt długo. Telefon oznajmia, że cofniemy się z powrotem do górnej stacji. Jedziemy ze zgrzytem w górę. Tu trzeba siedzieć cierpliwie blisko godzinę i czekać na naprawienie defektu.

Tymczasem wichura się wzmaga, mgła gęstnieje i już tylko przez okna w chmurach widać od czasu do czasu słoneczne plamy hen nisko w dole.

Niecierpliwimy się nietyle czekaniem, ile niepewnością, czy wogóle zjedziemy przed nocą i czy nie każą nam nocować we wściekle drogim hotelu. Nareszcie sygnał i wsiadamy znowu. W tem samem feralnem miejscu znowu dzwonek i stop. Ale po chwili zsuwamy się dalej i już widać w zachodzącem słońcu połyskujący szybkami dolny wagonik, który sunie naprzeciwko.

Widok cudowny. Cała Genewa zalana złotem. Jezioro, jak ciemnogranatowy półksiężyc, rywalizujący z miedzianym rożkiem księżyca na niebie. Jura aż razi śniegami. Wicher jak w wysokich górach. Cały świat jest szklący i promienny i tylko na szczycie Mont Salève, który zostaje za nami, siedzi złowroga czapa chmury śnieżnej.

Stoję na przednim pomoście i patrzę na wolno wiszące liny, na topniejącą szybko przepaść, na osady, które jakby biegły ku nam w górę. Jakiś Francuz z zapałem fotografuje widoki podczas jazdy.

I już lądujemy na dolnej stacyjce a potem przez granicę biegniemy pędem do tramwaju, bo lodowaty wiatr przeszywa na wylot.

Potem obejmuje nas gwar Genewy, światła wieczorne i krzyki mew nad wodą. Niesamowity Mont Salève zapada w zimny mrok.

Mewa.

BOKSER I MILJONERKA



Kiedy w kwietniu 1913 r. transatlantyk „Titanic“ wskutek najechania na górę lodową pogrążał się w fale, wśród pasażerów jego, którzy dobrowolnie wybrali śmierć, oddając miejsca w szalupach kobietom, dzieciom i chorym, znajdował się także multimiljarder amerykański Astor, ze swoją młodziutką żoną. Chciała ona podzielić los bohaterskiego męża, ale porwana przez marynarzy i wrzucona do łodzi musiała patrzeć z rozpaczą, jak w chwilę potem nad „Titanicem“ zamknęły się fale

Kobieta ta stała się potem słynną w Ameryce z różnych awanturek miłosnych. Mając olbrzymi majątek, łatwo zdobywała względy różnych młodych ludzi, spragnionych nietyle jej wdzięku, ile gotówki. Ostatnią jej sympatją był bokser włoski Enzo Fiermonte, który przybył do Ameryki jako 21-letni młodzieniec, zostawiwszy w swojej ojczyźnie żonę i dziecko.

Piękny Włoch wpadł w oczy starzejącej się Lady Astor, która zapragnęła go mieć za męża. Fiermonte uzyskał rozwód i stanął na ślubnym kobiercu z mocno już przekwitłą miljarderką. Po kilku miesiącach jednak współżycia bokser umknął w nocy i wsiadł na statek odpływający do Europy, ale czujna żona przeczuła jego zamiary i znalazła się na tym statku wcześniej od niego. Dopiero na pełnem morzu Fiermonte przekonał się, że jedzie nie sam, tylko z żoną. Skorzystał jednak z nadarzającej się sposobności i w najbliższym porcie uciekł do Algeru, a stamtąd do Genui do swojej piewszej żony.

Niepocieszona Lady Astor musiała dać za wygraną. Została sama ze swojemi miljonami, z rozdartem sercem i ze starością...

Na zdjęciu Lady Astor ze swoim mężem w czasie miodowych miesięcy.

KULIGIEM DO OJCOWA.



W olbrzymich śniegach, leżących na drodze Kraków — Ojców, grzęzły nawet silne auta. Obok auta stoją: pp. redaktor Stankiewicz i znany karykaturzysta Antoni Wasilewski (pierwszy od lewej).



Wejście do groty Łokietka w Ojcowie.



Widok na Ojców z groty Krowiej.



Saniami w drodze do Ojcowa.



W kuligu wziął także udział znany literat Jalu Kurek, laureat tegorocznej nagrody państwowej dla młodych.

Kulig pochodzi od słowa „kulić się". Dlatego ma on zastosowanie w zimie, zwłaszcza podczas mrozu. Wtedy bowiem ludzie, jadący na saniach, kulą się wzajemnie do siebie (ze zimna). Kulą u nogi w takich wypadkach bywają narty.

To też tych „kilkaset tysięcy ludzi" płci mieszanej, którzy w niedzielę ubiegłą wybrali się na czterech chłopskich, prymitywnych saniach, wymoszczonych śniegiem i mrozem z Krakowa do Ojcowa — nie liczyło wcale na rozkosze narciarskich zjazdów. Kulig rozpoczął się spod Parku Krakowskiego, gdzie przez trzy kwadranse oglądano kupony pasażerów — a metę miał w Ojcowie za Bramą Krakowską. W ten sposób powiązano dwa urocze zabytki krajoznawcze, tak drogie sercu Krakowian. (Znowu niebardzo drogie: cztery i pół złotego włącznie z obiadem).

Kuligowano, względnie kulono się przez dwie i pół godziny do Ojcowa. W powrotnej drodze zauważyłem, że niektórzy poza kuligowaniem i kuleniem się — także kuleli. Skąd pochodziło to kulanie — nie wiem.

Trzaskający mróz nie sprzyjał żartom na saniach, choć wewnętrznie wszyscy czuli ciepło towarzyskiego nastroju. Ciżba na saniach także konserwowała ciepło. Wiatr wiał mroźny, przeraźliwy jak pod Archangielskiem. Zimno wzmagało gadatliwość naszego woźnicy.

— Ja teraz jestem dziad na nogi.

Śmieje się sympatycznie, ukazując żółte, zdrowe zęby.

— Dlaczego? Przecież młodzi jesteście.

— Gdzie tam! Na wojnie, to my dwieście kilometrów ze szwedzkiej ziemi do Rosji szli po lodzie. Tam, we Finlandji, za Bałtykiem — to dopiero zimno! I z tego ja teraz taki słaby na nogi. A najbardziej, to w kolanach mnie drze.

Im bliżej do Ojcowa, śnieg robi się większy. Zboku podrywa się parę kuropatw i polatuje nisko nad zagonami. Wydziobują sobie dzikie kureczki posiane ziarnka zboża spod śniegu. Nie boją się jakoś ludzi. Nasz woźnica ma na to ustalony pogląd.

— One morowe. Teraz się ludzi nie boją, bo wiedzą, że w lutym niewolno ich strzelać.

Po długiem beznadziejnem wożeniu się z jednej strony szosy na drugą otwiera się wreszcie trochę lasu, później więcej, i zaczynają się serpentyny. Serpentynami jedziemy wdół. Otwiera się potworny wąwóz, jeżący się stromemi ścianami, na których taternicy polscy wdrażają się w pierwsze trudności spinaczki. Kenjon, zastygły w śniegu, jakieś minjaturowe polskie Colorado, rezerwat z Gór Skalistych. Wkrótce ukazują się pierwsze domki, pensjonaty, nieczynne, wymarłe. Przez parę godzin ludzie wnieśli w ten zakątek jakiejś straszliwej katastrofy przedhistorycznej, w tę ziemię fantastycznych skał, dotkniętych erozyjnym procesem — krzyk, gwar, śmiech i hałas.

Po paru godzinach Ojców znowu zamarł, kiedy czworo sań odjechało do Krakowa. Kulig grzmiał w popołudniowym zmroku, wznawiając improwizowane, a więc najmilsze tradycje koleżeństwa. (Kulig pochodzi również od słowa „kolega"). Kolegowano więc aż do rogatki przy ul. Łokietka, gdzie skulonych pasażerów, jak synów marnotrawnych przyjął w ramiona rozświetlony Kraków.

W śniegu i mrozie utrwalam wspomnienia: wódz fotografów koncernu „I. K. C." szalał w Ojcowie. Być może, że mnie złapał na kliszę. Zawsze stroniłem od tego. Ale co robić? Utrwalił mnie z taką dokładnością, z jaką ja umacniam obraz kuligu do skalistego parowu Ojcowskiego.

— Kolega kuleje z kulą u nogi, kuląc się ze zimna?

— Kuligowałem zanadto...

Jalu Kurek.



Na nartach w Ojcowie.

Wszystkie zdjęcia Ag. Fot. „Światowid".



Uczestnicy narciarskiego kuligu odpoczywają po trudach wycieczki w restauracji w Ojcowie.



Wymarsz na narty.



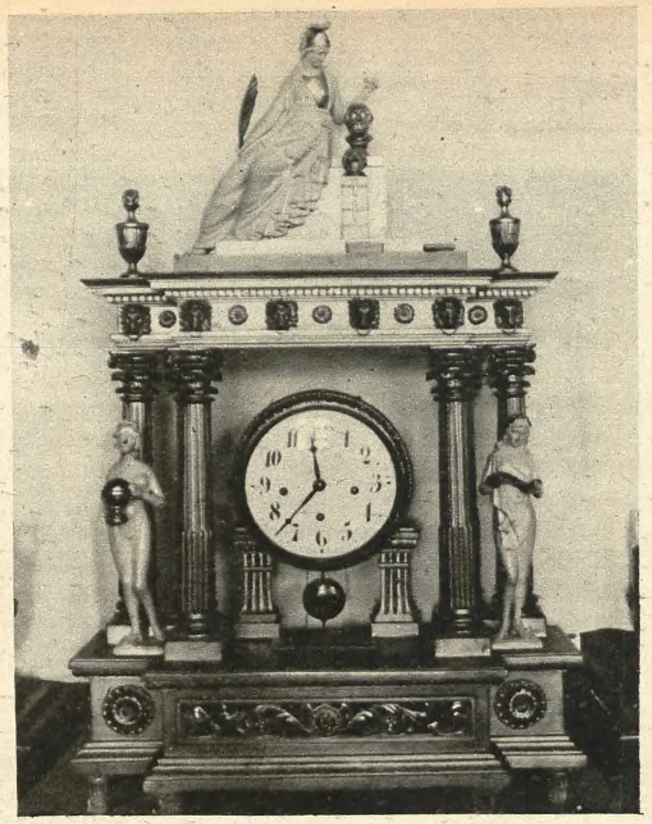
U podnóża zamku króla Kazimierza w Ojcowie.

ZEGARY KURANTOWE PRZED MIKROFONEM.

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID"

Do zegarów odnosimy się inaczej, niż do innych martwych przedmiotów. Mimowoli zdaje się nam, że ukrytym jest w nich nerw życia. Już zwykły zegar, odmierzający czas szmerem wahadła, jest towarzyszem nie do pogardzenia. Przemawiający jednak srebrnym głosem dzwonka, lub melodją cichej muzyki jest kompanionem zawsze mile widzianym i witanym.

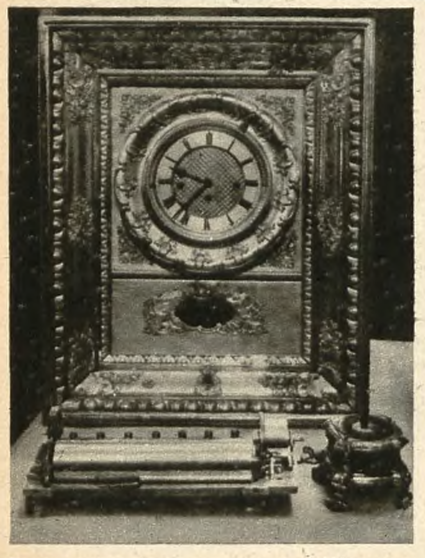
Pierwsze zegary bijące, umieszczane na wieżach, pojawiają się w w. XIV. W w. XVI i XVII bijącemi stają się również zegary mniejsze. Zwłaszcza pięknie odzywają się zegary t. zw. stołowe, stawiane na stołach, a mające kształt mosiężnych,



Zegar z końca XVIII-go wieku, ze zbiorów prywatnych w Krakowie. Gra na dzwonkach sześć melodyj.



Stacja krakowska Polskiego Radja transmitowała niedawno muzykę zegarów grających i bijących, które umieszczono przed mikrofonem, w specjalnie na ten cel zbudowanem pudle rezonansowem.



Zegar wiedeński z połowy XIX-go w. z muzyczką tzw. „grzebyczkową", grającą krakowiaki (własność dra Stanisława Gólskiego, Kraków).



Zegar wiedeński z lat 1830 - 40 z muzyczką t. zw. „grzebyczkową", grającą gawota i menueta (własność bar. Clossmanowej, Kraków).

bogato złoconych szkatuł. Wykonywano je (jeszcze w w. XVIII) również w Polsce, w Krakowie, Lublinie, Toruniu, Gnieźnie, Częstochowie i w innych miejscach.

W miarę postępu zegarmistrzowstwa system samego bicia staje się coraz bardziej rozmaity. Jedne zegary używają do bicia godzin tego samego tonu co do bicia półgodzin i kwadransów, inne odmiennego.

Niedość na tem. Konstruuje się zegary grające na dzwonkach fugę tonów, a nawet całe melodje tzw. karyljony. Karyljonów ojczyzną jest Flandrja, w Polsce zaś opanowały one wieże jednego tylko Gdańska, mającego z Flandrją tak wiele ścisłych stosunków.

Innym rodzajem zegarów grających były zegary t. zw. fletowe, dzisiaj rzadko spotykane. W ich mechaniźmie grającym, napotykamy szeregi piszczałek napełnianych powietrzem przy pomocy mieszka. O zegarach tych, rozpowszechnionych w Polsce szczególnie w w. XVIII, wspomina w swoich wierszach Krasicki: biję zegar kuranty, a misterne flety, co kwadrans, co godzina dudlą menuety.

Najczęściej u nas spotykanym typem zegarów grających są posiadające muzyczki t. zw. grzebyczkowe. Tu mechanizm grający stanowi obracający się walec opatrzony szeregiem sztyfcików. Gdy walec jest w ruchu, sztyfty uderzają kolejno o zęby grzebienia stalowego, a te drgając wydają tony składające się na melodje. Najdawniejsze muzyczki grzebyczkowe do zegarów pochodzą z przełomu XVIII/XIX wieku. Zegary natomiast z melodjami polskiemi zaczęły wyrabiać po powstaniu 1831 roku (i w latach następnych do około 1870 r.) warsztaty głównie wiedeńskie jak Olbrychta i Willenbachera, Einsiedla i Sagana, oraz praskie, z najwybitniejszych warsztatów F. Rzebischka na czele. Zegary te nabywane przez byłych wojskowych polskich, emigrantów i obywateli „wojażujących" za granicę, przemycane za kordony, odtwarzają w pierwszym rzędzie ulubione pieśni armji 31 roku, dalej mazury i mazurki (np. mazur Chłopickiego, mazurek Dąbrowskiego) polonezy (zwłaszcza Ogińskiego) i liczne krakowiaki (wiele do słów Wasilewskiego). Po roku 1848 pojawiają się zegary o melodjach polskich i węgierskich, po r. 1863 zegary z pieśniami powstania 63 roku.

Dodać wkońcu należy, że zegary grające nie wyróżniają się najczęściej swemi kształtami od innych. Mechanizm grający znajduje się w nich zazwyczaj ukryty w podstawie jak np. przy zegarach biedermajerowskich z kolumienkami, lub umieszczony jest za mechanizmem zegarowem, jak u zegarów „fletowych" szafkowych.

Kazimierz Buczkowski.



Brat Teodor Wrzesień z klasztoru OO. Reformatów w Wieliczce jest jednym z nielicznych w Polsce specjalistów amatorów umiejących naprawiać stare zegary tzw. fletowe.

POLSKA KOMUNIKACJA LOTNICZA W R. 1934.

W roku ubiegłym, który był 14-tym rokiem istnienia w Polsce komunikacji lotniczej, a 6-ym działalności państwowo-samorządowej instytucji Polskie Linje Lotnicze „LOT" polskie samoloty komunikacyjne przewiozły:

pasażerów	18.198
bagażu	183.765 kg.
towaru	179.080 „
poczty	29.040 „
gazet	18.676 „

i przy przeciętnej regularności przelotów 95% i pełnem, 100% bezpieczeństwie.

W porównaniu z latami ubiegłemi, a w szczególności z rokiem 1933 cyfry przewozów, dokonanych polskiemi samolotami w r. 1934 wzrosły znacznie i to zarówno w dziedzinie przewozu pasażerów, jak i poczty oraz gazet.

Przytoczone powyżej cyfry statystyczne dokonanych przez naszą komunikację lotniczą przewozów lotniczych w r. 1934 nabierają wyrazu dopiero wówczas, gdy porównamy je z pierwszemi latami istnienia w Polsce komunikacji powietrznej. Porównanie to przedstawia się następująco:

pasażerów	195	527	18.198
bagażu i towarów	7.600 kg.	9.410 kg.	362.845 kg.
poczty i gazet		295 „	47.716 „

MISTRZ CAPABLANCA W WARSZAWIE.



Wielokrotny mistrz szachowy świata Capablanca w przejeździe przez Warszawę rozegrał w „Towarzystwie szachistów“ jednocześnie partje z kilkunastu graczami (na zdjęciu).

Jose R. Capablanca urodził się w 1888 r. na wyspie Kubie. Ukończywszy studja na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, poświęcił się służbie dyplomatycznej. Jako szachista zasłynął po raz pierwszy w 1909 r., zwyciężywszy Marshalla. Na turnieju w 1911 r. pokonywa Rubinsteina i Vidmara i zdobywa drugą nagrodę. Odtąd jedynym jego poważnym przeciwnikiem jest słynny Lasker, z którym wygrywa dopiero w 1919 r. Do roku 1927 jest bezspornym mistrzem świata w szachach. Gwiazdę jego przyćmił dopiero Rosjanin Aljechin. Spotkanie pomiędzy Capablancą a Aljechinem odbyło się w Buenos Aires i trwało dwa miesiące.

Obaj mistrze rozegrali 34 partje, jednakże genjalny Rosjanin pokonał Kubańczyka.

Capablanca należy do nielicznych graczy, którzy zajmowali się także teorją szachów. M. in. wydał on trzy większe książki z tej dziedziny, a mianowicie: „Torneo international de la Habana“, „Moja karjera szachowa“ i „Podstawy szachów“.

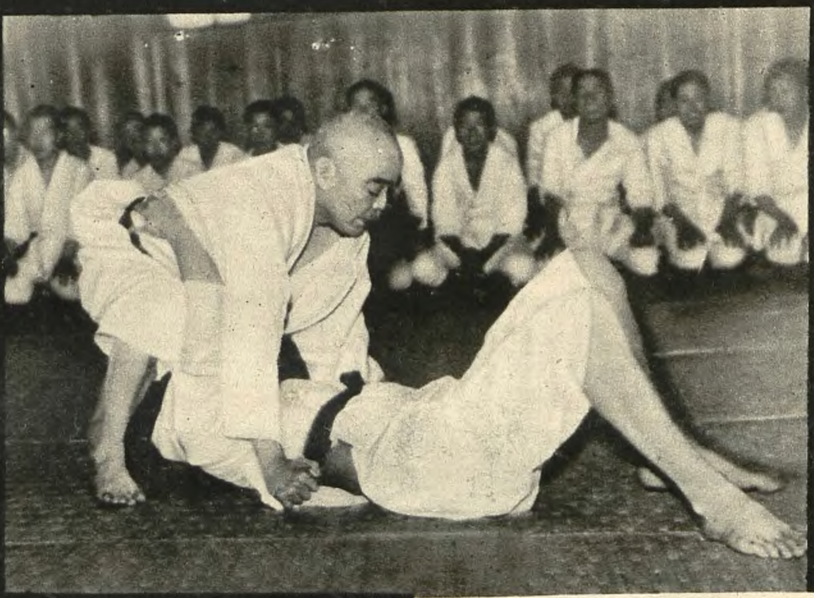
Stałem miejscem jego zamieszkania jest miasto Havana na wyspie Kubie.

W Warszawie Capablanca grał równocześnie na 34 szachownicach, wygrał 24 partyj, 6 zremisował a 4 przegrał. Z Capablancą wygrali płk. dypl. Steiffer ,dr Raciążek, p. Trockenheim i p. Szapiro. Pogratulować!

JESTEM SOBIE AUTOMAT...



Wszystko powszednieje na tym świecie, nawet automaty. Te skrzynki i pudła metalowe przestały być już dawno atrakcją dla publiczności, poprostu opatrzyły się. Dlatego dowcipni Hiszpanie nadali im przeto nowe formy i kształty, budując automaty w kształcie ludzi. Zamiast więc metalowej skrzynki siedzi sobie na rogu ulicy pocieszny grubasek, wypchany cukierkami i czekoladkami, które po wrzuceniu monety i naciśnięciu guzika wylatują mu prosto z pod serca. Nowość tę szczególnie dzieci hiszpańskie przyjęły z zadowoleniem, a obecnie automaty te stały się osobliwością ulic hiszpańskich, pokazywane z dumą turystom zagranicznym.

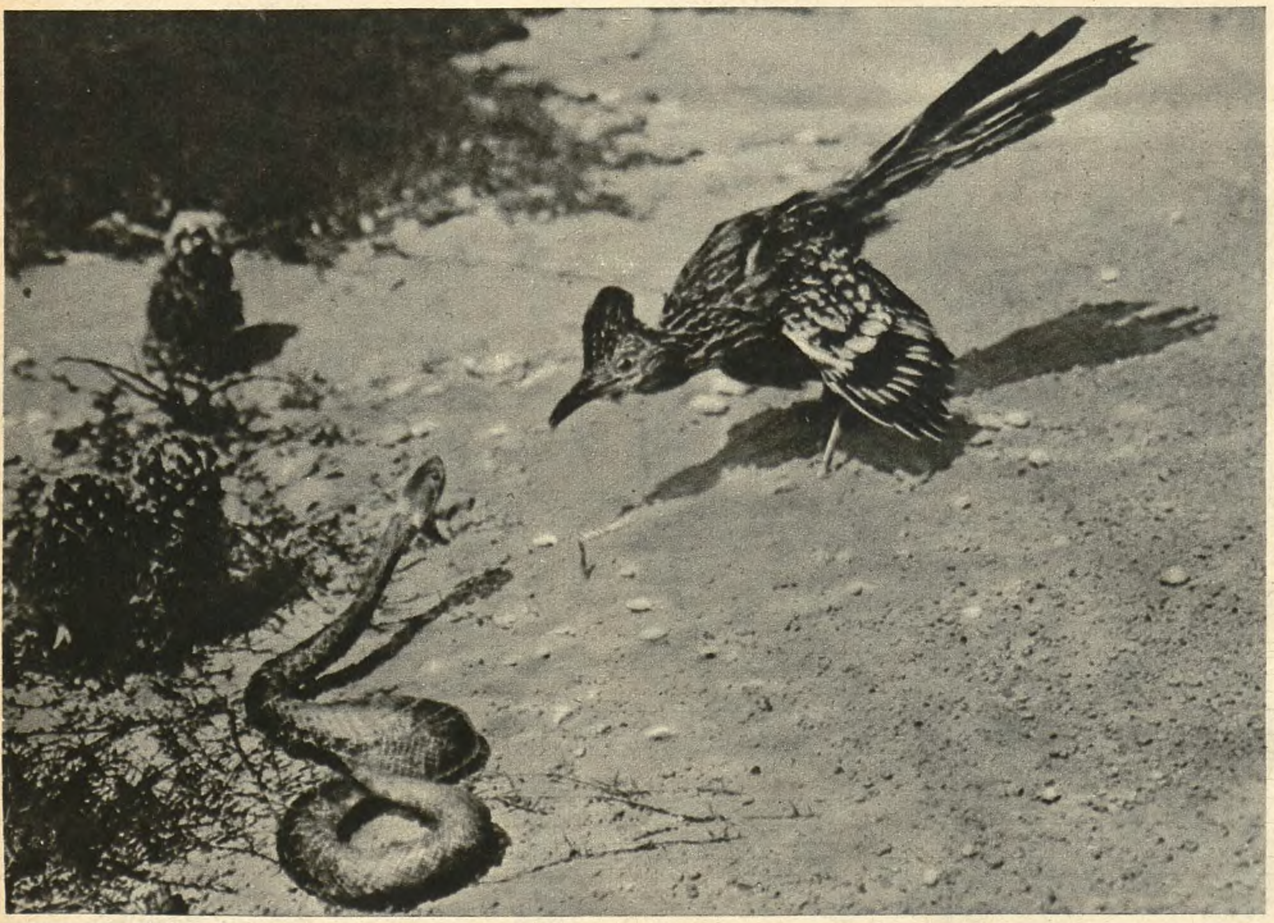


BOCZNE ZAJĘCIE MINISTRA JAPOŃSKIEGO.

Japoński minister kolei Shinya Uchida należy do znakomitych zapaśników, tak, że mianowano go profesorem zapaśnictwa na uniwersytecie Azabu w Tokio, gdzie studentom udzielane są lekcje z zakresu przysposobienia wojskowego. Za to boczne zajęcie minister Shinya Uchida nie pobiera żadnego wynagrodzenia, zjawiając się na uniwersytecie na sali ćwiczeń, tylko z głębokiego poczucia patrjotycznego dwa lub trzy razy do roku. Zaznaczyć należy, że zapaśnictwo, czyli t. zw. „Judo“ jest narodowym sportem japońskim, a zapaśnicy cieszą się wśród społeczeństwa tamtejszego ogromnym szacunkiem.

Na zdjęciu minister Shinya Uchida, udzielający lekcji zapaśnictwa.

DWIE BAŚNIE O WĘŻACH.



Dramatyczna chwila: stoją naprzeciwko siebie jadowity wąż i ptak.

U wielu ludów istnieje wiara, że węże potrafią siłą swego wzroku tak zahypnotyzować inne zwierzę, tak je ubezwładnić np. ptaka, że ten staje się łatwym ich łupem.

Są także kraje, a do nich między innymi należą Polska i Litwa, gdzie gospodarze rolni są nieraz przekonani, że węże wypijają ich krowom mleko, czyli poprostu, doją krowy.

Najmocniej o tej złośliwości wężów przekonani są farmerzy w północnej Ameryce. W dzienniku „Deutsches Volkblatt" (1933 r.) pisał jeden z tych farmerów, że właśnie jego krowę doił wąż, o czem świadczyły znaki na wymieniu krowy.

Inny farmer twierdził, że złapał na gorącym uczynku węża wodnego, który doił jego spokojnie na pastwisku leżącą krowę. Pewien farmer opowiada, że jedna z jego krów, najwięcej dająca mleka, nagle przestała być dojną. Krowa ta zatrzymywała się, wracając z pastwiska, nad brzegiem moczaru, z którego wypełzał wąż i krowę doił. Farmer, śledzący krowę, spostrzegłszy to, węża zabił, a krowa odzyskała dawną ilość mleka.

Inny kolonista zauważył, jak jedna z jego krów odłączała się od stada i biegła na pewne miejsce na łące. Poszedł za nią i ujrzał, jak stała na kopcu termitów, a wąż wypijał mleko z jej wymion. Po zabiciu węża przez farmera, krowa przez kilka dni biegała na wspomniane miejsce i żałośnie ryczała.

Znane są także opowieści o wężach, które obwijają się około szyi dzieci w kolebce i tylko zapachem ciepłego mleka dadzą się stamtąd usunąć.

Wszystkie te „bajeczki" nauka przyjmuje z uśmiechem pobłażania, która nie daje wiary także opowiadaniom myśliwych, że z zabitych węży płynie obficie mleko.

Prof. Jan Steinkirch, znakomity znawca południowo-brazylijskiego świata zwierząt w Kurytybie i prof. Rudolf Gliesch w Porto-Allegro, a zwłaszcza ten drugi, stanowczo twierdzi na podstawie własnych badań, że wierutną jest bajką, jakoby węże wypijały mleko z wymion krowich. Przedewszystkiem musiałyby mieć węże szczególne zamiłowanie do mleka, tymczasem prof. Gliesch stwierdził doświadczalnie, że pozbawione przez dłuższy czas wody, a przez to spragnione egzotyczne węże, nie chciały pić podsuniętego im mleka. Dopiero gdy profesor postawił przed niemi naczynie z wodą, węże włożyły w nie całe swe głowy, z chciwością piły wodę, pluskały się w niej, i nie zostawiły ani kropli.

Takie doświadczenia robił prof. Gliesch z wężami różnych gatunków, w różnych porach roku i dnia, wywołując u nich różne stopnie pragnienia — nigdy jednak nie zauważył, aby węże chętnie mleko piły.

Wprawdzie węże potrafią wysysać mleko, ale prof. Steinkirch absolutnie w to nie wierzy, by doiły krowy, wężom bowiem trudno ukryć ostre jak igły zęby, krowa więc nie stałaby spokojnie i nie dałaby się doić, gdyby wąż ukłuł ją w wymię.

Także badania chemiczne rzekomego mleka, wypływającego z ran zabitego węża wykazały, że we wszystkich wypadkach nie było to mleko, lecz woda, krew, i inne składniki, tylko nie mleko. Brehm (w „Życiu zwierząt") opowiada, że gdy młodemu grzechotnikowi odebrano wodę — a dano po pewnym czasie mleko do picia, grzechotnik zdechł. Natomiast nie ulega wątpliwości, że pewne gatunki węży, a przedewszystkiem nasz zaskroniec, chętnie piją mleko. Na Polesiu np. nieraz w chatach wiejskich, glinianych, widzi się zaskrońce, zaglądające do misek z mlekiem. Poleszucy nie odpędzają ich, ponieważ uważają, że taki gad, mieszkający stale w chałupie, przynosi szczęście.

Niezliczone są także relacje różnych podróżników z Indyj, którzy opowiadają, że okularniki można bez trudu zwabić do miski z mlekiem. Ale jak wiadomo, we wszystkich takich opowiadaniach jest zwykle ogromnie dużo „łaciny", a nawet zwykłej blagi.

Stanowczo także zbijają uczeni przyrodnicy baśń, jakoby węże oczarowywały, względnie hypnotyzowały swym wzrokiem inne zwierzęta i ludzi, a zwłaszcza ptactwo. Spostrzeżenie — mówi prof. Gliesch — jest prawdziwe, ale tłumaczenie błędne. Ptak pozostaje bez ruchu w bliskości węża nie dlatego, jakoby uległ hypnozie, powstałej z utkwionych w nim oczu węża, lecz dlatego, iż w ten sposób stara się odwrócić uwagę podejrzanego wroga od siebie, lub od gniazda, gdzie znajdują się jego pisklęta.

Nic w tem dziwnego i nadzwyczajnego, wszakże i najmniejszy owad udaje nieżywego, gdy, według jego przypuszczenia, zagraża mu niebezpieczeństwo życia.

Instynktownie i ptak odczuwa, że wąż napada na łup tylko dający oznaki życia, ruszający się, gdy więc ujrzy np. ptaka będącego w jego bliskości, a a ptak ten nie porusza się. obserwuje go i czeka na jakiekolwiek poruszenie się go. Oko węża jest wtedy również nieruchome i utkwione w ofiarę.

Jeżeli ptak nie załamie się nerwowo i widząc grożące niebezpieczeństwo do ostatniej chwili nie poruszy się, to wówczas wąż omija go i pełza dalej.

Jednego tylko nie umie wytłumaczyć prof. Gliesch, oto dlaczego ptak nie zrywa się do lotu, aby uniknąć niebezpieczeństwa? Może na to pytanie odpowie później nauka.



Wąż połykający mysz.

KRÓLOWA MODELEK DEMONSTRUJE...

Długi tegoroczny karnawał znajduje się obecnie w momencie największego nasilenia. Jednak ogólnie uznano, że bawią się ludzie mało i skromnie. Odbyło się już kilka większych balów i frekwencja wszędzie słaba. Jest jeszcze nadzieja, że zakończenie karnawału przybierze charakter hucznych i z wielkim rozmachem urządzanych zabaw.

Dużą aktywność obecnie wykazują nasze czołowe domy modelowe. Na wielu balach widzi się ich udział w postaci demonstrowania ostatnich kreacyj.

Na początku karnawału odbył się wybór królowej modelek, po raz pierwszy w Warszawie. Na jednej ze wspaniałej rewji mód, publiczność w powszechnem równem i tajnem, głosowaniu wybrała przemiłą p. Sabinę G. za królową modelek na na rok 1935.

Wybór był niezwykle trafny, gdyż urodziwa panna Sabina ma wdzięk i dystynkcję i umie nosić suknie.

Ostatnio na Balu Prasy w Adrji w Warszawie, demonstrowała p. Sabina te wspaniałe toalety, jakie dziś reprodukujemy. — Wśród wytwornego towarzystwa, które licznie reprezentowane było na tym balu, te piękne kreacje mody budziły ogólne zainteresowanie.

M. D.



P. Sabina G. z właściwą sobie gracją przedstawia na powyższem zdjęciu wspaniałą toaletę, która na ostatnim Balu Prasy była przedmiotem ogólnego zachwytu. Suknia ta, nosząca nazwę „Białe i czarne", wykonana jest z białego atłasu, cała w plisy, przybrana czarną kryzą. Toaleta pochodzi z Domu Modelowego Boguchwał Myszkorowski w Warszawie.



Królowa modelek we wspaniałym garniturze: peleryna i cudowna mufka-olbrzym ze srebrnych lisów. Te piękne futra pochodzą z magazynu Maksymiljana Apfelbauma w Warszawie.

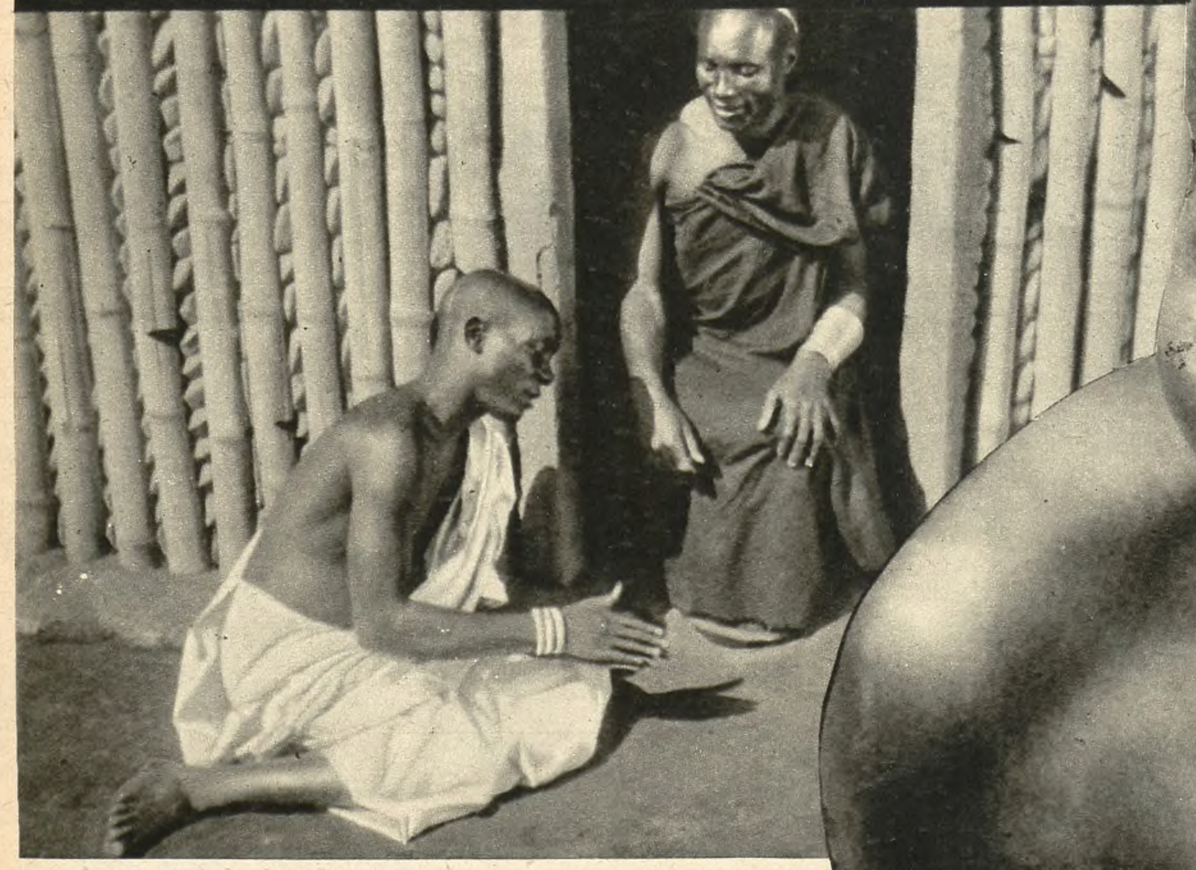


Piękny model pantofelka balowego, wykonany z czarnego renifera w pracowni Łucjana Leszczyńskiego w Warszawie. Obcas i klamra wysadzane brylancikami.



Prześliczny model: cape gronostajowa śnieżnej białości i wytwornej linji, wykonana w pracowni Maksymiljana Apfelbauma.

»JA CHCIEĆ ŻONĘ«.



Wysłannik sąsiedniego plemienia prosi naczelnika plemienia Tobbo o pozwolenie kupna żony.



I w Afryce są teściowe...



Wysłannikowi przedstawiono kilka dziewcząt do wyboru.



Nad jeziorem Tanganika w środkowej Afryce mieszkają najrozmaitsze plemiona murzyńskie, wśród których inteligencją i kształtnością wyróżniają się murzyni, zwani Tobbo. Jest ich wszystkiego około 4.000 i pierwotne ich siedziby znajdowały się w belgijskiem Kongu. Później jednak wyemigrowali na wschód i zatrzymali się w żyznych okolicach nad wodami Tanganika, gdzie nie brakło im ryb i zwierzyny. Nie znają oni zupełnie prywatnej własności, ale gospodarują na wspólnotach. Role bowiem i upolowana zwierzyna należą do wszystkich członków szczepu. Kobiety z plemienia Tobbo słyną z urody i są dlatego wysoko cenione. Trzeba za nie płacić od 15 do 20 krów. Co cztery tygodnie w noc poprzedzającą pełnię księżyca odzywają się we wsi Tobbosów bębny, zapraszające kandydatów do małżeństwa do przybycia na targ dziewcząt. Powoli zgłaszają się młodzieńcy z najrozmaitszych okolic, klękają przed wodzem i proszą go o pozwolenie kupna żony.

— Moja chcieć kupić żonę, moja mieć dużo krów — mówi taki wysłannik do wodza, składając równocześnie podarunki.

Zazwyczaj wódz niema serca z kamienia i daje swoje przyzwolenie, poczem kandydat na małżonka może oglądnąć „towar", t. zn. młode dziewczęta, które chcą się wydać. Targ zazwyczaj trwa długo, wreszcie za pewną ściśle określoną ilość krów, wybrana dziewczyna staje się własnością kupującego.

Obrzędy ślubne są połączone z bardzo uroczystym ceremonjałem. Przedewszystkiem dziewczyna, która dotąd chodziła nago, po raz pierwszy w życiu ubiera się, t. zn. opasuje biodra króciutkim fartuszkiem i wkłada na szyję naszyjnik. Potem golą jej głowę, potem odbywa się pieczenie najrozmaitszych ciast i przygotowywanie potraw, przeważnie z kukurudzy i mięsa. Wreszcie sędziwy czarownik daje pannie młodej kamień i kaczan kukurudzy, mówiąc: służ swojemu panu, bądź płodna, gniew Bogów ukarze cię, gdy nie będziesz wypełniała swoich obowiązków". Ceremonja ta odbywa się przy ogłuszającym odgłosie bębnów i kończy tańcami.

Nad ranem młoda para oddala się, przeważnie zupełnie pijana. Ściga ją złe spojrzenie... teściowej. Pan młody, choćby to był nawet najodważniejszy wojownik, umyka przed tem spojrzeniem, co sił. I tam bowiem pod gorącem słońcem Afryki teściowa jest synonimem sił, z któremi nie warto zaczynać.

Wszystkie zdjęcia René W. P. LEONHARDT — BERLIN CHARLOTTENBURG.

Ta mu się najbardziej podobała.



BOLESŁAW WALLEK-WALEWSKI JUBILATEM.

Dnia 7 b. m. odbył się w sali Starego Teatru w Krakowie koncert „Echa" krakowskiego, poświęcony kompozycjom znakomitego muzyka Bolesława Wallek-Walewskiego z okazji ukończenia przez niego 50-go roku życia i 30-lecia pracy kompozytorskiej. Walewski, autor „Pomsty Jontkowej" i niezliczonych utworów chóralnych, świetny kapelmistrz i doskonały pedagog położył niezapomniane zasługi na polu rozwoju kultury muzycznej w Polsce, a specjalnie w Krakowie. To też cały Kraków zgromadził się w dniu jego jubileuszu w Starym Teatrze, aby podziękować mu za dotychczasową pracę i zachęcić do dalszej. Jubilatowi wręczono ogromną ilość wieńców i kwiatów, wśród których widzimy go na zdjęciu w otoczeniu delegatek chóru „Echa Tatrzańskiego" z Zakopanego.

Ag. Fot. „Światowid".

JAK BING CROSBY ZROBIŁ KARJERĘ?



Bing Crosby w rozmowie z reżyserem.

W erze niemego filmu nie można było sobie wyobrazić, aby aktor taki jak Bing Crosby zrobił wielką karjerę.

A jednak...

Bing Crosby zawsze marzył o scenie. Nie myślał jednak, że marzenia jego kiedykolwiek się zrealizują. Jako młody chłopiec brał udział w przedstawieniach szkolnych. Gdy jednak otrzymał rolę Juljusza Cezara w sztuce Szekspira pod tym samym tytułem... i kurtyna powoli opuszczała się na dół, kiedy Bing zorjentował się, że spadnie mu na głowę, nie chcąc podzielić losu Cezara... najspokojniej przeniósł się na inne miejsce...

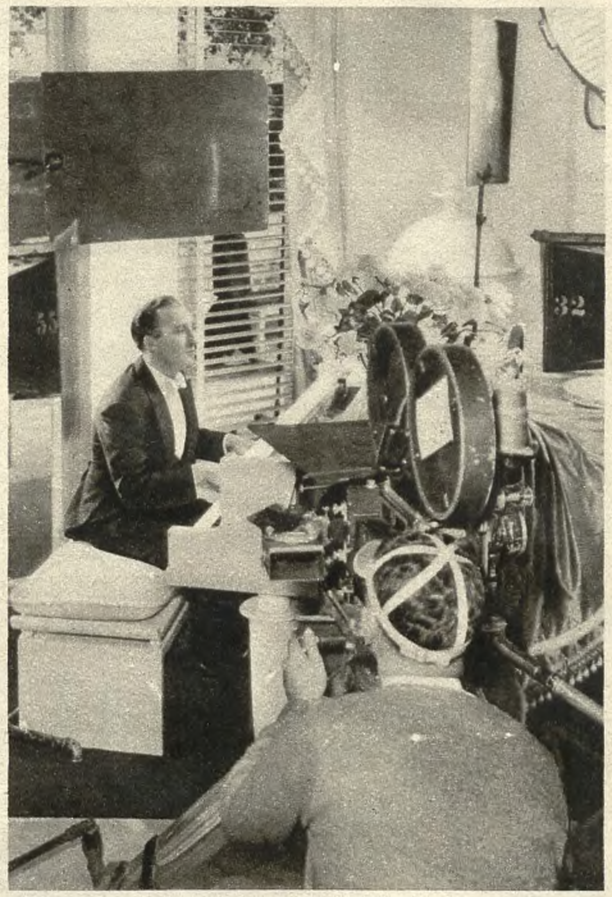
Publiczność zamiast wzruszyć się do głębi tragedją szekspirowską, wyła ze śmiechu.

Rodzice przyszłego gwiazdora filmowego życzyli sobie, by został prawnikiem. Bing wyjechał na uniwersytet i wstąpił na prawo. Nie zdradzał wielkiego zamiłowania do nauki i nie interesował się specjalnie sportem. Na uniwersytecie Gonzaga spotkał pewnego Amerykanina nazwiskiem Al Rinker. Rinker grał na różnych instrumentach, śpiewał... Potrafił namówić Binga i założyli we dwójkę orkiestrę.

Orkiestra ta miała duże powodzenie, tak że Bing i Al rzucili studja i zaczęli wędrówkę po miastach amerykańskich. Przybyli wreszcie do Hollywood. Tu występowali w Tent Cafe i zetknęli się z Paulem Whitemanem. Znakomity dyrygent zaangażował Ala i Binga do swej orkiestry, jako wokalistów. Trzecim wokalistą został Harry Barris.

Tak zaczęła się karjera Binga. W 1930 roku trójka przybyła wraz z zespołem Whitemana do Hollywood, gdzie wystąpili w filmie „Król jazzu". Cudowny klimat kalifornijski tak przypadł im do gustu, że wystąpili z zespołu Whitemana i zaczęli występować w modnej restauracji Cocoanut Grove w Hollywood. Bing zaczął śpiewać solo. Dostał engagement do radja, gdzie otrzymał królewską gażę. Płyty, naśpiewane przez Binga miały kolosalne powodzenie.

Wreszcie producenci filmowi zwrócili na niego uwagę. Bing dostał rolę w filmie wytwórni Paramount „Spełnione marzenie", następnie wystąpił w szeregu filmów jak „Swiat słucha", „College humor". Ostatnio Bing nakręcił dwa filmy: „Miłość dla początkujących" z Miriam Hopkins, oraz „Wielka księżna i chłopiec hotelowy" z Kitty Carlisle. Bing jest jednym z najlepiej zarabiających aktorów w Ameryce. Prócz dużej gaży jaką otrzymuje z Hollywood, dostaje jeszcze honorarja za występy w teatrze, płyty gramofonowe i występy radjowe.



Bing Crosby pozuje operatorowi filmowemu.
Zdjęcia Fot. „PARAMOUNT".

GWIAZDKI ŚLĄSKA.



WANDA BISZEWSKA.
Fot. Cz. Datka — Katowice.

Po zlikwidowaniu operetki w Katowicach powstał w tem mieście popularny teatrzyk rewjowy pod nazwą „Rarytas", który wkrótce zjednał sobie całkowicie sympatję publiczności. Do teatrzyku zaangażowano szereg wybitnych sił, m. in. utalentowaną artystkę opery wileńskiej p. Wandę Biszewską. Odniósłszy szereg sukcesów opuszcza ona niebawem Katowice i przenosi się do Warszawy.



HALINA HRABIÓWNA.
Fot. „REMBRANDT" — Bielsko.

Do najcenniejszych sił rozgłośni katowickiej należy p. Halina Hrabiówna. Młoda ta artystka pierwsze swoje kroki stawiała w Krakowie, jako uczennica p. Mściwójewskiej. Tutaj też zwróciła na siebie uwagę dra Jachimeckiego i dra Jendla, którzy zachęcili ją do kontynuowania studjów. Na konkursie Polskiego Radja dla młodych śpiewaków zdobyła pierwsze miejsce. Koncertowała dwukrotnie w Wiedniu, obecnie zaś rozgłośnie niemieckie zaproponowały jej szereg występów przed mikrofonem.

SUKCES POLSKIEGO FILMU.



Scena z filmu „Młody Las".
Fot. „Libkow-Film" — Warszawa.

(R) Jeden z najlepszych filmów rodzimej produkcji „Młody Las" osiągnął sukces nielada. Został mianowicie wybrany przez międzyministerjalną komisję, jako film reprezentujący polską wytwórczość na Międzynarodowym Festivalu Sztuki Filmowej w Z. S. R. R.

Wyróżnieniu temu należy szczerze przyklasnąć. „Młody Las" okazał się bowiem dobrym filmem, który godnie reprezentować nas będzie zagranicą. Festival w Moskwie będzie dla świata filmowego wydarzeniem pierwszej wagi. Zjeżdżają się tam bowiem producenci ze wszystkich stron świata, aby demonstrować najlepsze filmy swych krajów.

Miejmy nadzieję, że i nasza produkcja odniesie sukces. Byłoby to zasługą w pierwszym rzędzie reżysera (Lejtes), następnie autora sztuki (Jan A. Herz), oraz producenta (Libkow).

Poprzedni film tej wytwórni „Pod Twoją Obronę" okazał się także jednym z najlepszych filmów ostatniego czasu, mamy nadzieję, że następne będą na poziomie „Młodego Lasu".



CZY TANIEC JEST PRACĄ.

Albertyna Rasch jest twórczynią najsłynniejszej szkoły tanecznej w Ameryce. Ostatnio cały zespół tej szkoły bierze udział w scenach tanecznych filmu „Wesoła Wdówka“, reżyserji Ernesta Lubitscha. Zapytana przez dziennikarza jednego z pism, czy taniec jest pracą, czy przyjemnością, odpowiedziała, następująco:

„Zadawano mi to pytanie już kilkakrotnie i przypuszczam, że najlepszą odpowiedzią będzie opis treningu, jakiemu poddaję stale wszystkie moje tancerki. We wszystkich moich zespołach pracują zasadniczo dwa różne elementy. Część moich tancerek kształcona jest przezemnie od dzieciństwa, część zaś dobierana jest wyłącznie ze świata aktorskiego. Trening, jakiemu je poddaję nie różni się prawie zupełnie od treningu, jaki przeprowadza dla siebie Max Baer. Te same ćwiczenia, biegi, gimnastyka. Nie stosuję żadnej specjalnej diety, nie zabraniam „chodzenia z chłopcami“, nie zabraniam zabaw. Tancerka, dobra tancerka musi być przedewszystkiem zdrowa, silna, wesoła i zadowolona. Szczęście musi z niej promieniować w tańcu i oddziaływać na widza. Taniec jest pracą ciężką i dlatego tancerka musi być wytrenowaną, żeby widz, ani cienia tej pracy nie zobaczył. W „Wesołej Wdówce“, w której występują obok siebie Maurice Chevalier i Jeanette MacDonald, taki taniec jak np. Can-Can wymagał prawie trzech miesięcy pracy i przygotowań, nim odtańczono go ku mojemu zadowoleniu. Wielki walc w ogromnej sali na Balu Ambasadorów, tańczy poza świetnie wyćwiczonym tłumem statystów 180 najlepszych tancerek amerykańskich.

Mogę śmiało powiedzieć, że pod względem tanecznym nie było dotąd filmu tak opracowanego, jak „Wesoła Wdówka“. Współpracowałam ściśle z Lubitschem i to jego mistrzowskie „dotknięcie“ daje się wyczuć w każdej najdrobniejszej scenie“.

Scena z filmu „Wesoła wdówka“, reżyserji Lubitscha, w którym wystąpią Jeanette Mc Donald i Maurice Chevalier.

FOT. „METRO“.

ŁÓDZKA MELPOMENA



„Intryga i miłość" Schillera w inscenizacji Szletyńskiego. Widoczni od lewej: Zofja Tymowska, Ina Benita i Józef Leśniewski.

Teatr Miejski w Łodzi posiada poważny udział i niejedną świetną kartę w wielkiem dziele szerzenia kultury i polskości w polskim Manchesterze.

W czasach przedwojennych teatr ten był podwójną świątynią: sztuki i polskości. Ze scen teatru łódzkiego przemówił po raz pierwszy na terenie b. zaboru rosyjskiego potężny urok „Wesela" Wyspiańskiego: żywi, mocni ludzie wiejscy, romantyczna Rachela, widma i majaki przeszłości, chwacki Jasiek i dudniąca głucho, smętna muzyka słomianego Chochoła, budząc silny oddźwięk w duszach widzów. Przez scenę łódzką przewinęły się w owych czasach w swej wędrówce artystycznej najtęższe wówczas i dziś jeszcze „tuzy" polskiej Melpomeny: śp. Crliński, Kamiński, a z „młodszych" mistrz Solski, Junosza-Stępowski, kilkakrotny, niezmiernie popularny w Łodzi, dyrektor Zelwerowicz, którego rządy w łódzkiej Melpomenie przerywał dwukrotnie pożar teatru, Solska, Wysocka, Adwentowicz, Węgrzyn, Jaracz, Arkawinówna, Bogański i długi, bardzo długi szereg innych.

Teatr polski w Łodzi zaćmił swym blaskiem w owych latach wspaniałości teatry niedalekiej stołecznej Warszawy, skąd na każdą ciekawszą premjerę przyjeżdżali do Łodzi nietylko artyści i reżyserowie teatrów stołecznych, ale również i goście, rekrutujący się z inteligencji stołecznej, spragnionej bijącego z ówczesnej sceny łódzkiej kaskadą zdroju wielkiej sztuki i polskości.

Jeszcze przez szereg lat po odzyskaniu Niepodległości cieszy się teatr łódzki swą dobrze zasłużoną sławą. Jednakże znaczne pogorszenie się sytuacji ekonomicznej miasta zaczyna wywierać swój wpływ na pozycję materjalną łódzkiej Melpomeny, pociągając za sobą stałe zmiany w kierownictwie teatrem i emigrację szeregu najlepszych sił do stołecznej Warszawy. Wszystko to wpływa wielce ujemnie na poziom artystyczny sceny łódzkiej.

W ostatnich latach przeżywa już scena łódzka niewątpliwie bardzo poważny kryzys, będący, jak się zdaje, wynikiem dystansu, jaki powstał między potrzebami i wymaganiami „konsumentów" a tem, co im teatr ofiarowywał. W rezultacie stan finansowy teatru uległ dalszemu poważnemu pogorszeniu, co siłą rzeczy wpłynęło wysoce ujemnie na jego poziom artystyczny. Szereg najlepszych aktorów, którzy od lat pracowali w Łodzi, opuścił miasto, że wymienimy tylko ulubieńca publiczności łódzkiej: utalentowanego Michała Znicza o nieodpartej vis comica, wybitnie uzdolnionych: Jerzego Woskowskiego i Zofję Tatarkiewicz-Woskowską (oboje są dzisiaj czołowymi aktorami sceny stołecznej), dalej Białoszczyńskiego, Grolickiego, Horecką, Skrzydłowską, młodego Węgrzyna (niezapomniany Jim!), Szuberta, Niedziałkowską i szereg dobrze zapisanych w wdzięcznej pamięci publiczności łódzkiej.

Kryzys finansowy i artystyczny, jaki przechodził w latach ostatni teatr łódzki, osiągnął — jak się wydaje — w roku ubiegłym swój punkt kulminacyjny, swoje dno. Rok bieżący jest już dużo lepszy. Energiczny kierownik teatru łódzkiego dyr. Wroczyński uzupełnił w roku bieżącym bardzo poważnemi i cennemi siłami zespół artystyczny, co przyczyniło się wydatnie do podniesienia poziomu wystawianych sztuk. Dyrekcja teatru, nie zrażając się obojętnością, jaką okazywała teatrowi publiczność łódzka, przypuściła energiczny szturm do tutejszych bywalców teatru. Zorganizowane zostało Towarzystwo Przyjaciół Teatru, grupujące elitę tutejszych sfer towarzyskich, którego zadaniem będzie odbudowanie pomostu między publicznością a teatrem. Z inicjatywy grona osób, pracujących na terenie szkolnictwa, zorganizowane zostały specjalne przedstawienia dla młodzieży szkolnej, cieszące się wybitnem powodzeniem, a posiadające również poważne znaczenie wychowawcze.

Dalej jeden z członków zespołu teatralnego, uzdolniony Jacek Woszczerowicz zajął się „teatrem dzieci", zdobywając sobie olbrzymi aplauz i ogromną popularność zarówno wśród młodocianych bywalców przedstawień, jak również ich starszych opiekunów.

O ile chodzi o linję repertuarową teatru w roku bieżącym, to szła ona wyraźnie w kierunku komedjowym. Teatr wystawił dotychczas następujące sztuki: „U mety", „Zwyciężyłem kryzys", „Skutarewskij", „Dama w bieli", „Intryga i miłość" „Olimpja", „Miłość bez słów", „Ten, który wrócił", „Migo", „Mecz małżeński", „Kwiecista droga", „Pan Benet", „Dożywocie". Ponadto miała miejsce w teatrze b. ciekawa prelekcja reż. Szletyńskiego p. t. „26 dni w teatrach Moskwy". Stały zespół sceniczny wzmocniony zaproszonemi specjalnie do Łodzi na gościnne występy dwiema doskonałemi artystkami sceny poznańskiej i krakowskiej p. Haliną Cieszkowską i p. Haliną Żaklicką dał kilka przedstawień wysokiej miary, nie ustępujących, o ile chodzi o poziom inscenizacji teatrom stołecznym.

Jak wynika z zestawienia repertuarowego teatru łódzkiego, drugie miejsce obok sztuk komedjowych w repertuarze teatralnym zajmowały sztuki sowieckie (Skutarewskij, Kwiecista droga). Wystawienie powyższych sztuk jest wyrazem pewnego „pójścia na rękę" tak typowym dla Łodzi zainteresowaniom dla repertuaru społecznego. Wybór tych sztuk nie wydaje się nam szczęśliwy: poruszają one sprawy dla tutejszego widza względnie mało aktualne. W rezultacie więc ich oddźwięk był stosunkowo niewielki, szersze rzesze inteligencji, którą sztuki powyższe miały pozyskać dla teatru, zachowują w dalszym ciągu w stosunku do sceny łódzkiej — splendid isolation — doskonałą obojętność. Dotychczasowe doświadczenia w tej mierze, zdobyte przez kierownictwo teatru, winny posłużyć do dokonania odpowiedniego zwrotu w linji repertuarowej naszej sceny.

O ile chodzi o sukces artystyczny — to najciekawiej wypadły premjery „U mety" Rostworowskiego, „Dama w bieli" Acharda, „Migo" — i rzecz znamienna — dwie sztuki klasyczne: Schillerowska „Intryga i miłość" i oryginalna inscenizacja dwóch komedyj Fredry „Pan Benet" i „Dożywocie".

Ciężar inscenizacji sztuk, granych przez teatr w bieżącym sezonie, spadł na barki stałych reżyserów sceny tutejszej, pp.: Czengerego i Szletyńskiego.

Obok wymienionych wyżej reżyserów wiele, b. wiele pracy i wysiłków położył przy inscenizacji wystawianych sztuk zespół artystyczny teatru z pp. Żmijewską, Dunajewską, Chojnacką, Paszkowską, Tymowską, Żeromską, Relewicz-Ziembińską, Niedźwiecką, Fiszerówną, Iną Benitą, Malejówną i panami Szymańskim, Żurowskim, Woszczerowiczem, Dardzińskim, Macherskim, Winawerem, Mrozińskim, Madalińskim, Winczewskim, Leśniewskim i Snayem

Kierownictwo ogólne teatru łódzkiego spoczywa od 2 lat w doświadczonych rękach dyr. Wroczyńskiego.

ZDJĘCIA
M. WARSZAWSKI — ŁÓDŹ.



„Kwiecista droga" Katajewa. Akt III.: Jan Mroziński, Zofja Tymowska, Włodzimierz Macherski.



Reżyser Szletyński, jako „Pan Benet".



Zasłużony dyrektor Teatru Miejskiego w Łodzi p. Kazimierz Wroczyński.



Stefan Tymowski, niezmiernie popularny, długoletni sekretarz Teatru Miejskiego w Łodzi.



Irena Paszkowska, pełna wiośnianego uroku amantka teatru Miejskiego w Łodzi.



„Migo" w inscenizacji Szletyńskiego. Widoczni od lewej: Macherski, Zaklicka, Molejówna, Benita, Fischerówna, Woszczerowicz i Winczewski.



Gwiazdki teatru łódzkiego: Benita Fischerówna, Zaklicka i Molejówna.



„Dożywocie" na scenie teatru łódzkiego. Widoczni od lewej: Filip (Woszczerowicz) i Łatka (Winawer).

LAUREATKA KONKURSU FILMOWEGO „ŚWIATOWIDA“

P. ZOFJA HARNOSÓWNA Z PABJANIC OPOWIADA O SWOJEM ŻYCIU.



Zofja Harnosówna z Pabjanic.
Fot. A. Kabza i S. Kwiatkowski — Pabjanice.

Pabjanice, niegdyś stolica włości kapitulnych, gród o starych tradycjach, dziś małe miasteczko fabryczne, satelita przemysłowej Łodzi jest naogół przyzwyczajone do „sław“ Nic dziwnego. Pabjanice są rodzinem miastem Jadzi Wajsówny mistrzyni świata w dysku, jednej z naszych najlepszych lekkoatletek, a także drugiej mistrzyni lekkoatletyki Janowskiej. Zarówno jedną jak i drugą zna tutaj niemal każde dziecko. Prócz tego Pabjanice pysznią się i to słusznie czemś jeszcze, mianowicie wybitną urodą swoich cór. Gdyby tak urządzić konkurs piękności kobiecej, niewątpliwie wśród jego laureatek znalazłaby się niejedna pabjaniczanka.

Mimo wszystko wiadomość o zdobyciu przez jedną z mieszkanek Pabjanic nagrody na konkursie Światowida na najlepszy scenarjusz filmowy wywołuje w mieście wielką sensację. Radosna nowina rozchodzi się lotem błyskawicy wśród ludności miasta i jest żywo komentowana. Patrjoci lokalni mówią „Aha“! i radośnie zacierają ręce. Każda pabjaniczanka urosła o metr i nosi z dumą głowę.

W całem mieście nie można dostać ani jednego numeru „Światowida“.

Stosunkowo najmniej jest zaskoczona radosną nowiną sama laureatka. Oczywiście, wiadomość o decyzji jury przyjęła z wielką radością, ale już zdążyła się opanować, z powagą pełną godności przyjmuje nasze gratulacje.

Laureatka konkursu filmowego „Światowida“ jest młodą, przystojną szatynką. Pełną wyrazu jej twarz rozjaśnia raz po raz pogodny błysk głęboko osadzonych błękitnych oczu.

P. Zofja Harnosówna, urodziła się w Pabjanicach, gdzie stale też mieszka razem z rodziną. P. Zofja ukończyła w 1931 r. gimnazjum państwowe w Pabjanicach, poczem zapisała się na uniwersytet warszawski, na wydział chemiczny. Jednakże już bardzo prędko wobec śmierci matki musiała powrócić do Pabjanic i zająć się domem.

Ojciec p. Zofji pracuje w warsztatach mechanicznych jednej z największych firm przemysłu bawełnianego w Pabjanicach.

P. Zofja ma jeszcze dwie siostry i małego braciszka. Prowadzenie gospodarstwa domowego nie pochłania jej całego czasu, to też starała się jeszcze o jakąś pracę zarobkową, ale bez skutku. „Tak teraz trudno coś dostać, wszystko zajęte — kryzys, — opowiada nam o swoich niedawnych trudnościach.

„Czy spodziewała się pani uzyskać nagrodę na konkursie Światowi[illegible]“ — pytamy.

Okazuje się, że tak. P. Zofja szczerze się przyznaje, że miała pewną nadzieję, ale liczyła, że nagroda zostanie jej przyznana za inny scenarjusz, nie za „Złote pocałunki“. Okazuje się bowiem, że p. Zofja wysłała na konkurs aż 3 scenarjusze, z tego dwa bardzo poważne, a jeden komedjowy. Jeden z tych scenarjuszy nosił tytuł „Kryzys“, a drugi „Przeludnienie“. Na oba scenarjusze zwrócił uwagę jeden z członków jury, p. Karol Irzykowski, który poświęcił im specjalne omówienie w wywiadzie, drukowanym w sierpniowych numerach „Światowida“. P. Zofja osobiście uważała swój scenarjusz pt. „Kryzys“ za najlepszą ze swych prac i liczyła głównie na uzyskanie nagrody za ten scenarjusz. Niemniej jednak zaszczytne wyróżnienie „Złotych pocałunków“ napawa ją wielką radością.

Czy od dawna pracuje Pani nad scenarjuszami filmowemi? — pytamy.

Okazuje się, że tak. P. Zofja ma sobą szereg prac. Pisze bardzo wiele, odpowiada z uśmiechem, tylko brak mi jest cierpliwości na skończenie rozpoczętych prac. Kiedyś próbowałam napisać powieść, ale właśnie ten brak wytrwałości nie pozwalał mi nigdy na zdealizowanie powziętych zamiarów. Dlatego też przerzuciłam się na pisanie scenarjuszy filmowych. Są zwięzłe i krótkie — wyjaśnia z uśmiechem.

Sama myśl pracowania nad scenarjuszami filmowemi nasunęła się miłej autorce „Złotych pocałunków“ przed kilku laty. Mianowice jeden z tygodników filmowych wydrukował początek scenarjusza kinowego i ogłosił konkurs na jego dokończenie. P. Zofja wzięła udział w tym konkursie scenarjusz jej został wyróżniony, co było bodźcem do dalszej pracy w tym kierunku.

Rozmowa przechodzi na temat kina. P. Zofja jest gorącą wielbicielką X-muzy, żałuje bardzo tylko, że filmy przychodzą do małych Pabjanic ze znacznem opuźnieniem.

Pytam autorkę „Złotych pocałunków o ulubionych aktorów filmowych.

„Zasadniczo lubię wszystkich dobrych aktorów — mówi z namysłem p. Harnosówna, takich, którzy dobrze grają. Z wybitnych aktorów filmowych specjalnie wyróżniam Philipsa Holmes‘a i Charles Boyer‘a. Ulubioną moją gwiazdą filmową jest Sylwia Sidney. Z polskich gwiazd filmowych wymienia p. Zofja po dłuższym namyśle Karolinę Łubieńską. Bardzo jej się również podobała p. Lindorfówna w filmie „Pod Twoją obronę“.

Z filmów widzianych najbardziej przypadł jej do gustu stary „Metropolis“ Wanga i niedawno widziana „Wyspa okrętów“. P. Zofja nie jest naogół entuzjastką filmu krajowego. Na zapytanie nasze, jaki film krajowy najbardziej się jej podobał — nie potrafi dać odpowiedzi.

— Jakie są Pani dalsze zamiary wobec uzyskania nagrody — pytamy. Dotychczas — odpowiada po dłuższym namyśle miła nasza rozmówczyni — chciałam pracować, nie miałam jednak ściśle określonego celu, ani też działu pracy. Uzyskana przezemnie nagroda pieniężna pozwoli mi na opędzenie mych potrzeb materjalnych. Z drugiej strony osiągnięty sukces jest dla mnie wielkim bodźcem do pracy dalszej nad scenarjuszami filmowemi. W tym kierunku będę też pracowała.

„Marzeniem mojem jest w chwili obecnej ujrzenie jednego z mych scenarjuszy na ekranie. Szczególnie bym pragnęła, aby się znalazł jakiś kapitalista, producent filmowy, któryby zrealizował mój scenarjusz p. t. „Kryzys“. Pracę tą uważam za najbardziej dojrzałą i wartościową z pośród mych scenarjuszy — kończy swoje zwierzenia autorka „Złotych pocałunków“.

Powtarzamy życzenie laureatki. Panowie producenci filmowi baczność: Jest do nabycia ciekawy scenarjusz.

(emwu).

REWJA KANDYDATÓW FILMOWYCH.



ANIELA PIASECKA (Zawiercie).

„Najlepiej podobał mi się film „Pożegnanie z bronią“, dlatego, że jest to obraz przedstawiający, jak walczą żołnierze, a ja wojsko bardzo lubię. Z artystek przepadam za Smosarską“.

Fot. P. Frączkowa. Zawiercie.



LESIA PIETRASZKIEWICZÓWNA (Lwów).

„Janina“ — Lwów.



Z. H. (Łódź).

„Fotografję posyłam za namową znajomych. Jestem przeciętną pracowniczką, która nawet nie marzy o karjerze filmowej. Podobał mi się „Młody las“. Do czołowych artystów polskich zaliczam Samborskiego, a z kobiet Andrzejewską“.

Fot. J. Mencel — Łodź.



L. IWANCZÓWNA (Nowa Wilejka).

„Nie wiem, czy posiadam fotogeniczną twarz, ale kogóż tu się spytać na dalekich Kresach? Mam jednak nadzieję, że moja fotografja znajdzie się w „Światowidzie“.



EDMUND MROZOWSKI (Aleksandrów Kuj.).

„Urodziłem się w roku 1916 w Dobrzyniu. Ojciec mój był pracownikiem kolejowym. W Toruniu uczęszczałem do Seminarjum nauczycielskiego, ale z powodu braku funduszów musiałem przerwać studja na trzecim roku. Z zamiłowaniem występowałem zawsze w teatrach amatorskich. Z artystów filmowych najwyżej cenię Wallace Beery i Nilsa Asthera. Z filmów zagranicznych podobały mi się: „Burza o brzasku“, „Pożar nad Wołgą“ i „Królowa Krystyna“, z polskich zaś „Na Sybir“, „Pod Twoją Obronę“ i „Wyrok życia“. Chciałbym grać takie role jak Bodo w „Pieśniarzu Warszawy“, lub Conti w „Roku 1914“.



WŁADYSŁAW NAWALNY (Gródek Jagielloński).

„Urodziłem się w roku 1911 w Chyrowie. Mając lat sześć, straciłem rodziców. Ukończyłem cztery klasy gimnazjalne, poczem poszedłem na praktykę ślusarską, potem drukarską. Próbowałem pokolei najrozmaitszych zawodów, ale jakoś mi się nie wiodło, bo ciągle przychodziły redukcje. Teraz służę w wojsku. Występowałem niejednokrotnie na scenach amatorskich. Chciałem dostać się do teatru, ale wszędzie pytano o świadectwo ze szkoły dramatycznej. A tymczasem moją szkołą dramatyczną jest życie. Zwróciłem się o pomoc do Forda, reżysera filmowego, ale list wrócił, bo adresata nie znaleziono“.



MIECZYSŁAW MŁOTKOWSKI (Warszawa).

„Marzę ustawicznie, by zostać artystą filmowym. Posiadam podobno ładny głos, jak mówią moje wielbicielki. Najlepiej odpowiadałyby mi role Valentina“. *„Foto-Film — Warszawa.*

BALET OPERY POZNAŃSKIEJ.



Baletnice poznańskie.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID"



Próba przed premjerą.



Najmłodsze latorośle szkoły baletowej w czasie ćwiczeń.

Ma opera warszawska swój balet, ma go i opera poznańska. Wprawdzie niema tu ani Lody Halamy, ani Sławskiej, ani innej tancerki o międzynarodowej sławie, ale są liczne tancerki, które wybijają się ponad poziom zwykłych baletnic. Jest więc Kasówna, smukła blondyna o ognistym temperamencie, jest Nina Grzegorzewska, młodziutka, ale już bardzo dobra tancerka o niezwykłej harmonji ruchów i wielkiej plastyce tanecznej, jest Gejsówna o wielkiej intuicji tanecznej i wiele innych, które wysuwają się na czoło zespołu.

Nad nimi czuwa dbały o rozwój sztuki tanecznej Maksymiljan Statkiewicz, wraz z primaballeriną Zofją Grabowską. Oboje wyszli z wielkiej szkoły Djagilewa, Czecchettie i Mocciego. Nazwiska te mówią same za siebie. U Djagilewa pracowali oboje z Pawłową, Karsawiną i Niżyńskim. W miłej pamięci mają oni zwłaszcza Karsawinę, która była koleżanką wzorową, chętnie młodszym pomagająca i służąca swą światłą radą, pamiętają wielkiego tancerza Niżyńskiego, który teraz gdzieś w szwajcarskiem sanatorjum dla nerwowo chorych dogorywa.

Oboje, primaballerina i baletmistrz mają swój specjalny styl i metodę szkolenia. Przechodząc trzy szkoły o odrębnych właściwościach stylowych, wyciągnęli z nich swój własny, najbardziej im odpowiadający i stosując go w szkole, osiągają bardzo dodatnie rezultaty. Czynni są w Operze Poznańskiej od 1924 roku i od tego czasu prowadzą tu swą własną szkołę baletową, złożoną z 2 kursów. Nauka w szkole trwa minimalnie 6 lat. Niegdyś szkoła ta, podobnie jak i opera, była umiastowiona, teraz nie można o tem marzyć. Ale mimo to szkoła prosperuje i ma sporo uczenic.

Sam corps de ballet liczy kilkanaście tancerek. W skład jego poza wymienionymi już na wstępie wchodzą Soberówna, Paetzówna, Niedzielska, Tomicka, Beymówna, Radtkówna i inne. Wszystkie one są wychowankami szkoły baletowej Statkiewicza. Z tancerzy wymienić wypada Zwolińskiego, Sawickiego i Mikołajczaka, z których każdy jest tancerzem samodzielnym.

Ćwiczenia w szkole baletowej, do której wstępują dziewczynki od 8 lat są niełatwe. Gimnastyka, tańce, gimnastyka, wykłady. Tak przez cały czas trwania nauki. Dopiero po tych żmudnych przygotowaniach uczennice powoli przechodzą na scenę, a potem dopiero do corps de ballet, których członkinie już widnieją na afiszu. Zanim do tego dojdzie, uczenica wykazać się musi nietylko szczegółowem opanowaniem tajników sztuki tanecznej, ale także i talentem. Stąd też każdy balet układu Statkiewicza jest bardzo dobrze sharmonizowaną całością.

Oprócz tańca baletmistrz Statkiewicz wykazuje szczegółową znajomość kostjumerji. Jeszcze za czasów swego pobytu u Djagilewa, z którym Statkiewicz zwiedził cały prawie świat, dbał on szczególnie o przyswojenie sobie znajomości kostjumów poszczególnych epok. Studjował wszelkie dzieła, traktujące o kostjumach historycznych i regjonalnych. Kostjumy w balecie opery są specjalnie troskliwie dobierane.

Wkońcu zwrócić musimy na jeden szczegół uwagę. Szkoła Statkiewicza przy Operze Poznańskiej przygotowuje tylko tancerki, które później chcą się sztuce tanecznej poświęcić zawodowo. Nie można tej szkoły identyfikować z szkołami rytmiki i plastyki.

H. S.



Primaballerina Opery poznańskiej, Zofja Grabowska w czasie codziennego treningu.

DZIEWCZYNA Z ZARĘKAWKIEM.



Ta piękna dama z zarękawkiem to Neysa Nourse, debiutująca na ekranach amerykańskich.
Bywalcy kinowi zachwycają się jej oczami.

KUPON Nr. 7 *upoważniający do losowania nagrody*

CUDNE TATRY

SZARADA.

(Ułożył A. Mieczkowski — Warszawski Klub Szaradzistów).

Kto chce zbyć trosk codziennych brzemię,
kto **pierwszy** ujrzeć chce natury,
ten **pięć** bezruchu niech nie drzemie,
a śpieszy **dwa** południe, w góry!
Czwór-ósma wskaże Ci zakątek
u stóp Giewontu gdzieś, lub dalej,
skąd Tatry biorą swój początek:
Tam jedź, używaj, baw się, szalej!
Zwłaszcza **trzy-czwarta** podhalańska
da Ci moc wrażeń, natchnień roje,
taka **raz-druga**, tak „szampańska"
zabierze w jasyr serce Twoje!...
Spojrzyj, jak w blasku skrzy się słońca
cudny pióropusz śnieżnych szczytów
i zda się strzela wzwyż bez końca,
aż do niebieskich gdzieś błękitów!
Tatr **ósmy-piąty** wachlarz toczy
zdobny w brylanty i opale...
Od blasku ich aż bolą oczy
z zachwytu drżą Ci ust korale!
Jarzą się w słońcu Rysów szczyty,
Zawrat, Kościelec i Granaty
i **Siódmy-trzeci** Wierch w błękity
wystrzela strojny w śnieżne szaty....
Patrz: oto dzień już **siedem-drugie**
i **sześć** Giewontem słońce znika,
a tam na szczycie chwile długie
przystaje **siódma-szósta** dzika;
Na tle wieczornych blasków zorzy
widać ją dobrze, „jak na dłoni":
Spojrzeniem żegna dzionek Boży,
ostatnie blaski wzrokiem goni....
Za swoim **ósmym** i **dziewiątym**,
słońcem, spogląda gór władczyni
i myśli: rychłoż nad Giewontem
znów się słoneczny dzień uczyni?...

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesieczna „Światowida" od 1—31 III 1935.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 23 lutego 1935 wraz z załaczonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 4.

SZARADA: Mandarynki.

REBUS: Wszyscy do walki z analfabetyzmem!

Odpowiedzi redakcji.

WPANI S. RUTK., RAKÓW. Sąd Konkursowy oparł swe orzeczenie na projektach i nikogo do nadesłania rozwinięcia tematu nie zapraszał.

Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 4 nadesłali:

Józef Czołba, Poznań; Marta Ślósecka, Gniewkowo; ks. Julian Ludomir Arlitewicz, Skotniki; „Wilnianin", Dubno; Władysław Tyblewski, Poznań; Jerzy Sass, Krzeszowice; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Zygmunt Tietz, Warszawa; Ant. Leszek, Rutkowski, Ciężów; Teofil Sobecki, Poznań; Wanda S.; Filek z Baranowicz; Janina Gillowa, Warszawa; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Jasia Markowska, Warszawa; Zofja Maksymowiczowa, Lwów; Jan Chęś, Poznań; Helena Chojnacka, Poznań; Bronisław Rotter, Kraków;; Marja Strzelecka, Żywiec; Władysław Jankowski, Żywiec; **Marja Rundowa, Bielsko (zł. 20.—)**; J. Kuszewicz, Równe; Marjan Jagusiński, Kraków; Bolesław Kurowski, Warszawa; Józef Maziarz, Ozorków; Wl. Wojtczakowa, Ozorków; Tadeusz Garbacik, Jasło; Ewa Brzozowska, Warszawa; Anna Loeglerówna, Lwów; Włodzimierz Kudasiewicz, Dąbrowa Górnicza; Lidja Sasówna, Kraków; Józef Gołębiowski, Kraków; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Czesław Mączewski, Warszawa; Alinka Szwembergerówna, Warszawa; Jerzy Szwemberger, Warszawa; Janusz Szwemberger, Warszawa; Edward Protasewicz, Wołonin; Tadeusz Rabczak, Warszawa; dr Helena Opielińska, Środa; Alfons Warzecha, Trzebinia; Władysław Wysocki; Janina Wysocka, Wilno; „Maryśka z Pohulanki"; Jerzy Zapiór, Kraków; Helena Formejster, Lublin; **Wiktor Kossonoga, Sambor (zł. 10.—)**; M. i W. Rzemyszkiewiczowie, Rydzyna; Mirosław Łebek, Miechów; Czesław Kozłowski, Warszawa; Zofja Lasocka, Warszawa; Bibljoteka K. S. M. P., Witanowice; Sławomir Litwiński, Lublin; Kazimierz Koreywo, Modlin; ks. Jan Lewicki, Przemyślany; Jan Lisiewicz, Nowy Sącz; Stanisława Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Leontyna Lenobel, Lwów; Stanisław Tymec, Kraków; X. X., Mielec; K. Ćwiertniakówna, Zakopane; Jan Obtułowicz, Żywiec; Andrzej Pieńkowski, Kościan; Hanna Radziejowska, Poznań; Prenumerator, Danilcze; Marja Baworowska, Sorocko; Karol Suchanek, Węgierska Górka; Czytelnia TSL., Węgierska Górka; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Henryk Kuzilek, Brześć n. B.; Stanisław Raganowcz, Przemyśl; Jan Badura, Szopienice; Roman Chromiński, Krzemieniec; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Klub Pracowników „Gazolina" S. A., Borysław; P. Kaniak, Lwów; Zdzisław Wosik, Zawiercie; Józef Urban, Targanica; Witold Ustaszewski, Warszawa; Witold Majewski, Warszawa; Michał Adamczyk, Siedlce; **Bolesław Klimczak, Opatów (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 III 1935)**; Stanisław Beksiński, Sanok; Zygmunt Wiśniewski, St. Łapy; Juljanna Aleksiejewa, St. Łapy; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Marjan Kopczyński Nowy Sącz; K. Kościuk, Bieżanów; Natalja Sobolewska, Lublin; Ludka Ogrodzińska, Kraków; Stanisław Sztanderski, Skarżysko-Kamienna; Joanna Dutkowska, Sanok; „Manfred"; Hanka Iwaszkiewiczówna, Myślenice; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; Jana T., Kraków; Karol Kaczmarczyk, Kraków; Bronisława Ramułtowa, Jeżów; Kazik Mrzygłód, Tarnowskie Góry; Józef Ruta, Wieluń; Andrzej Orszański, Kraków; Józef Stefańczyk, Pabjanice; Kazimierz Pycio, Pabjanice; A. Jakubowicz, Warszawa.

Nagrody otrzymali pp. Marja Rundowa, Bielsko (zł. 20.—); Wiktor Kossonoga, Sambor (zł. 10.—), oraz Bolesław Klimczak, Opatów (prenum. miesięczna „Światowida' od 1—31 III 1935 r).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

Kraków buduje Muzeum Narodowe.

W sali Hołdu Pruskiego w Muzeum Narodowem w Krakowie wygłosił prof. Henryk Uziembło doskonałą prelekcję o malarzu hiszpańskim Goya, jako mistrzu portretów kobiecych. Dochód



Prof. Henryk Uziembło.

z tego odczytu został przeznaczony na budowę Muzeum Narodowego w Krakowie, którego nowy gmach dźwiga się zwolna z fundamentów dzięki ofiarności całego społeczeństwa i niezłomnej woli prezydenta m. Krakowa dra Kaplickiego.



BEZPŁATNE PORADY

Z DZIEDZINY KOSMETYKI, HIGJENY I KULTURY FIZYCZNEJ — *pod redakcją*

MARY MAYER

kierowniczki szkoły i atelier kosmetyki

WARSZAWA, AL. SZUCHA 4.

J. Z. Z SOSNOWCA. Do każdego mycia stosować żółtko, utarte z boraksem do białości. Spłókiwać naparem z rumianku w połączeniu z jedną łyżką 5% wody utlenionej na 1 litr naparu.

PANI POD PSEUDONIMEM „CIEKAWA". W sprawie soku świetlikowego proszę przeczytać odpowiedź, udzieloną Pani „Stałej czytelniczce". Na wypadanie brwi i rzęs pomoże czystość, codzienne przemywanie wodą z kwasem bornym (1 łyżeczka od kawy na 1 szklankę wody), masaż olejkiem rycynowym, zmieszanym do połowy z olejkiem z migdałów słodkich.

PANI GIZELA OWIDE. Przesyłamy Pani za zaliczeniem preparat na odwłosienie oraz krem.

PANI MIKI RYNKÓWNA. Tak wielką ilością pięknych słówek, chcę wierzyć, że szczerych, tchnie cały Pani list, że pozwolę sobie przytoczyć maleńki taki urywek: „Kochana Pani Mary, z pewnością jest Pani kochana i my, pochłaniaczki, porad „ŚWIATOWIDA" powinniśmy Panią ozłocić i postawić na ołtarzyku...". Chciałabym się doczekać tego momentu, w którym czytelniczki „Światowida" chciałyby mnie ozłocić! — Albowiem życie nastręcza tyle przykrości finansowych, zwłaszcza, jeśli się pragnie, ażeby wszystko było nietylko na poziomie, ale i „ponad poziom". Czując werbalistyczną stronę takich przyjemnych listów, wcale nie łudzę się, uśmiecham się pobłażliwie i dalej wypełniam swoją misję posiewu umiłowania estetyki życia. Pani Miki zwraca moją uwagę na fakt istnienia tylu brzydkich rąk, tylu zaniedbanych! I tak mało czytuje zapytań z tej dziedziny. Czyżby kobiety nie czuły, że piękna ręka jest ich wielką ozdobą. Tak! Pani Miki ma rację. Mało jest zapytań z dziedziny ogólnej pielęgnacji ręki. Wszystkie kobiety przejmują się najpierw buzią. Więc ręce zostawiają „napotem". Co robić, ażeby skóra rąk była zawsze napięta, gładka, żeby nie była czerwona? Proszę Pani zależne jest to od wielu rzeczy. Gładkość i miękkość skóry zależy od podściółki tłuszczowej, dostatecznie lub mniej dostatecznie rozwiniętej. Elastyczność i jędrność od włókien elastycznych i mięśni gładkich w skórze zawartych, karnacja, tak zwany koloryt, od unaczynienia. Jak zatem Pani widzi na wiele spraw trzeba zwrócić uwagę, ażeby sprostać tym Pani wymaganiom. Stosowanie kremów, zewnętrzne zabiegi pomagają tylko połowicznie. Wygląd ręki uzależniony jest pod wielu względami od budowy całego ciała. Zaglądanie do kuchni i troski wokoło gospodarstwa nie odbiją się ujemnie na pięknym wyglądzie ręki, jeśli będziemy ją dostatecznie obmywać i to możliwie po każdej czynności „zabrudzającej", jeśli na noc będziemy je odżywiały. Następnie masaże palców i dłoni, gimnastyka, zabezpieczające przed zimnem i zmianami temperatury rękawiczki, przyczynią się zapewne do zwalczenia niejednej niedokładności. — Jeśli chodzi o Pani „buziuchnę", że się tak wyrażę, to niemożliwe, żeby nie była ani sucha, ani tłusta, bo skoro pisze Pani, że ma Pani wągry i otwarte pory... — Więc trzeba oczyszczać dobrze, a po oczyszczeniu odżywiać. Pojawienie się wągrów nie jest „ściśle zależne od przemiany materji", bo zależy także od nieracjonalnej pielęgnacji, od używania wielkiej ilości środków upiększających, a niedostatecznej opieki higjenicznej. Pragnie Pani preparatów mojego wyrobu, ale prosi Pani, aby stało się to po „pierwszym". Dobrze, Droga Pani Miki. Dla Pani wszystko!

PANI POD PSEUDONIMEM „BRWI'. Proszę przeczytać uwagę, skierowaną do Pani pod peusdonimem „Ciekawa".

PRENUMERATOR. Niech Pan nie rozpacza, że lekarz orzekł, iż trądzik jest nieuleczalny. Otóż tak źle nie jest. Recepta przepisana Panu na zwalczenie tego cierpienia — jest spirytusem salicylowym o mocy 80 proc. Do walki z trądzikiem nie wiele się przyczyni. Wiem natomiast, że zastosowanie autohemoterapji, zastrzyków z wapna, opanowanie i wskazanie odpowiedniej djety, a zewnętrznie podanie leków: resorbcyjnych, przeciwzapalnych, łagodzących — daje naprawdę rezultaty bardzo dodatnie. Naturalnie, podłożem dla rozwoju trądzika jest pewien stan wrodzony, konstytucjonalny, ale zmieniając warunki idealne dla rozwoju choroby, stajemy chorobie wpoprzek drogi. Wszystko, co Pan napisał, bardzo skrupulatnie przeczytałam i wzięłam pod rozwagę. Proszę zastosować następujący preparat: Rp. Sulfur ppti 6.0 — Resorcini 2.5 — Balsam peruv. 10.0 — Ol. sesami 30.0 — Ol. cadini 5.0 — Ol. cacae 7.5. — Do codziennego stosowania na noc po uprzedniem umyciu twarzy watką, wodą ciepłą przegotowaną z dodatkiem boraksu (1 łyżeczka na szklankę wody) oraz mydłem, a raczej pianą mydła, ażeby nie podrażnić skóry. Osuszyć serwetką z ligniny. Nałożyć maść na całą noc. Rano niech Pan przemywa spirytusem mentolowym.

PANI BARBARA MAKOWSK.A Odpowiadam tylko na łamach „Światowida". Prosiłabym poza tem o bardziej uprzejme zwracanie się do mnie w sprawie bezpłatnej porady. Udzielanie porad nie jest moim jedynym obowiązkiem.

PANI ZARUBIŃSKA L. Może i Pani spróbuje lampy kwarcowej ,skoro w identycznej dolegliwości pomogła ona Pani znajomej. — Jeśli chodzi o zmiany barwikowe takie jak piegi, plamy soczewicowate — to uciekamy się przy leczeniu ich do smarowania sokiem cytrynowym do połowy (każdorazowo) zmieszanym z wodą utlenioną 5 proc. Proszę zastosować następujący preperat do smarowania codziennie na noc: Rp. Hydr. bichlor. corr. 0.2 — Emmulsiae Amygd. 120.0. — Często tego rodzaju leki podrażniają skórę, to te żnależy natychmiast zastosować przysypkę (puder ryżowy) lub łagodny krem.

PANI H. ZIELIŃSKA. Stan Pani skóry wykazuje wiele niedomagań: a między innemi, jak Pani sama opisuje: łuszczenie się naskórka, liszaje, pryszczyki, rozszerzone pory, wągry i czerwone żyłki. Niestety nic na odległość powiedzieć nie mogę. Pisze Pani, że wyciska Pani pryszczyki, z których wycieka ropa. I pocóż Pani to robi? Mogę tylko jedno powiedzieć, że 99% kobiet świadomie czy nieświadomie podniszcza sobie skórę i robi na niej niebywałe spustoszenia. Jakże można proszę Pani przy tak poważnych zaburzeniach nieczystemi rękoma, w najprymitywniejszy sposób, bez odkażenia narzędzi, i pola operacji paznokciami „wyciskać" ropę. I tak szczęście, że gorzej się nie dzieje, że nie sprowadziła Pani sprawy zakaźnej. Jako zabieg wstępny przed udaniem się do lekarza radziłabym wzmóc troskę o przemianę materji. Proszę pić drożdże piwne, świeżutkie, trzy razy w ciągu dnia w czasie posiłków. Kąpiele ogólne, obojętne z dodatkiem Spaecies aromaticae probalneo oraz krochmalu doskonale zrobią. Wogóle leczenie ogólne klimatyczne ma największe zastosowanie, a z miejscowych zabiegów na skórę twarzy, proszę zastosować środki resorbcyjne, zlekka złuszczające i przeciwzapalne np. Rp. Camphorae monobr. 2,5 — Resorcini resubt. 2,0 — Ac. Tannici 1,5 — Glycerini 10,0 — Spir. vini 66% 180,0.

PANI H. W. POD PSEUDO „BEZRADNA". Pończochy gumowe są tylko czynnikiem uzupełniającym walkę ze zbytnią otyłością nóg. Trzeba po pierwsze uwzględnić budowę, następnie przemianę materji, gimnastykę, masaże, a wkońcu dopiero noszenie pończoch. Bardzo polecałabym ogólnie „spaść na wadze", a jeśli chodzi o wyszczuplenie nogi — robić masaże, po masażu nakładając pończochę na przeciąg 2—3 godzin. Ceny pończoch są bardzo różnorodne. Oczywiście mogłabym dla Pani załatwić ten sprawunek i polecić wysłać Pani prospekt. Proszę zatem o przysłanie prywatnego adresu.

PAN PAWEŁ W. Proszę Pana czy warto tak bardzo przejmować się? Niech Pan nabierze otuchy i wiary, że nos zostanie wyleczony. Polecam doskonały preparat do codziennego stosowania na noc po uprzednim umyciu nosa następ. preparatem: Rp. Mentholi 2,5—01. petri 3,0 — Camphorae monobr. 2,5 — Spir. vini 70%—100,0. — Jeśli chodzi o krem to: Rp.: Lenigaloli 5,0 — Acidi borici 3,0 — Ac. salic. 05, — Eucerini 25,0 — Talci cosmet. 10,0—01. paraf. 15,0 — Ol. odor. 1,5. — Krem może Pan stosować i na całą twarz. Doskonale oczyści, złuszczy, wybieli. Przemywać zrana preparatem spirytusowym o składzie: Rp.: Mentholi 1,5 — Camphorae 0,5 — Spir. vini 60%—55,0.

PAN STUDENT U. S. B. List Pana wartoby zacytować cały. Jest przemile zredagowany. Bardzo dziękuję za słowa uznania. Podaję Panu receptę przeciw piegom: Rp.: Lanolini 15,0 — Vaselini 10,0 — Hydrog. peroxyd. 20,0 — Hydr. sublimati 0,05 — Bismuti oxychlor. 0,5. — Pozatem należy skórę ochraniać przed promieniami słonecznemi stosując puder przed wyjściem na słońce. Podaję także przepis: Natr. bicarb. 5,0 — Chinini sulf. 0,5 — Talci cosmetici 25,0, Amyli orysae 15,0—01. eucalipti 0,5.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków. Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

STARY KRAKÓW.



Kościół Bożego Ciała na Kaźmierzu w Krakowie został wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego w połowie XIV-go wieku. W 1404 r. król Władysław Jagiełło oddał świątynię tę Kanonikom Regularnym, sprowadzonym ze Śląska. Kościół Bożego Ciała (na zdjęciu) jest jednym z najpiękniejszych zabytków architektury gotyckiej w Polsce.

Ag. fot. „Światowid"